Nr. 25 (1120). Warszawa, dnia 8 (21) Czerwca 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i piątki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Gabinet francuski wystąpił d. 8 b. m. z manifestem wstępnym: „obrona rzeczypospolitej i jej instytucyj od nieprzyjaciół wewnętrznych; walka z klerykalizmem i ścisłe, bez żadnych zwolnień i względów przeprowadzenie ustawy o zgromadzeniach zakonnych, wraz z dalszem ograniczeniem prawa nauczania, a to przez zniesienie prawa Falloux (r. 1850); dwuletnia służba wojskowa; upaństwowienie dróg żelaznych. A podatek dochodowy rosnący? Ulotnił się z programatu republikanów radykalnych pod tchnieniem p. Rouviera, który go nie lubi, a do nowego gabinetu wejść musiał. Nie lubi takiego podatku i republikańska większość — i to jest główną przyczyną banicyi projektu: daleko jeszcze tej demokracyi francuskiej do rzetelnego demokratyzmu.

D. 10 b. m. deputowany czeski, Klofacz, w przedlitawskiej Izbie deputowanych surowo potępił mową malborską, wytykając w niej to, co rzeczywiście jądro jej stanowi: podżeganie do nienawiści i prześladowania jednego odłamu ludności państwa pruskiego przez naród już nietylko pruski, ale i cały, jak jest, niemiecki. Za ten czyn uczciwy otrzymał Klofacz 700 podziękowań w telegramach i listach — zapewne i od Polaków. Z Koła galicyjskiego najlżejsze nawet słówko nie zamąciło błogiego spokoju, jakiego hr. Gołuchowski potrzebuje do dobrego wyglądu. P. Jaworski zwołał umyślne posiedzenie Koła, aby mu wyłożyć racyę takiego kagańca, nałożonego posłom galicyjskim przez wyższą politykę. To milczenie Koła — przeraża; jest pod niem jakaś anemia, jakiś niedowład, jakieś obumieranie. Niema polityki, ktoraby nakazywała hańbę, a drogą takich milczeń można dojść tylko do wyrzeczenia się siebie, niedalekiego od hańby.

Delegacye austro-węg. d. 9 b. m. zakończyły swe czynności, ale układy o kwotę i stosunki cłowo-handlowe wyczekują wciąż zmiłowania. Węgrzy brutalnie chcą nadal wyzyskiwać położenie, które im pozwala ponosić ciężary wspólne w stosunku niższym do narzuconego przez samą statystykę. Koerber poddać się temu nie chce i stąd złość na Koerbera — i porozumienie rozchwiane — D. 18 b. m. dobiegła do kresu i działalność rady państwa, w ostatniej chwili zawichrzona żądaniami Czechów o prawa języka czeskiego. Uśmierzył wichry Koerber obietnicą projektu zasadniczego na jesieni; uchwalono nową opłatę od biletów kolejowych. Sejmy krajowe zwołane, galicyjski na 21—4 b. m.

D. 12 b. m. żądane 250 milionów na walkę z Polakami, przyjęte przez posłów dostało się do Izby. P. Bülow znowu wystąpił. P. Kościelski tym razem miał mowę „ostrą.“ Izba odesłała projekt do komisyi.

Rząd pruski zaczyna wydalać niemiłych sobie korespondentów zagranicznych. Sam p. Richthofen, pomocnik p. Bülowa, własnemi usty dał chłostę Saundersowi, korespondentowi *Timesa* z Berlina. Oczekują teraz rozkazu wydalenia.

Sejm cesarstwa d. 7 b. m. zniósł paragraf dyktatorski w Alzacyi i Lotaryngii. Polacy głosowali za zniesieniem; poseł Głębocki wytknął przytem podszczuwanie malborskie. Bülow odpowiedział, że sprawa należy do Prus, a cesarz spełnił tylko obowiązek monarchy pruskiego; jak Hochkönigsburg na zachodzie, tak Malborg na wschodzie jest strażnicą kresów państwowych.

Rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn. organizuje obronę brzegów; zaczął od zamianowania głównych kierowników: nad Atlantykiem Coopera, nad oc. Spokojnym Kempfa. Izba reprezentantów uchwaliła 175 głosami przeciwko 38 ustawę przeciw anarchistom.

Do d. 15 b. m. poddało się 16,000 Boerów. Lynch z Przylądka po skazaniu na śmierć ma być ułaskawiony przez króla. De Wett zakłada w Europie — wielki ogród.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kobieta w sądownictwie i w adwokaturze.*)

W szeregu licznych pól pracy umysłowej, do których kobiety znalazły przystęp w ostatnich czasach, należy także sądownictwo. Świątynia sprawiedliwości nie uniknęła ogólnego losu i stała się przedmiotem energicznego ataku emancypacyi kobiecej, który — przyznać trzeba — rokuje dobre powodzenie. Urzędu sędziego w Europie nie udało się wprawdzie do ostatnich czasów pozyskać ani jednej kobiecie, jeżeli nie brać w rachubę średniowiecznych hrabin i księżniczek, do których, wskutek samego ich stanowiska, należało i prawo sądu nad poddanymi i lennikami, jako naturalna część składowa władzy feodalnej. Przypadkowo w roku ubiegłym, z powodu zupełnego braku kandydatów mężczyzn, wywołanego emigracyą, w jednym z komitatów Węgier północnych, w gminie Rank, wybrano również kobietę na posadę sędziego do spraw drobnych. Pierwszy poważny krok w tym kierunku uczynił w Europie parlament norweski (Olsting), przyjmując (w styczniu r. b.) w zasadzie projekt ustawy, nadającej kobietom prawo zajmowania posad sędziowskich.

Zato w niektórych Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej (jak Utah, Colorado, Wyoming) kobieta już od lat kilku zajmuje, na równi z mężczyzną, krzesło sę-

*) Artykuł niniejszy jest częścią obszernej całości „O pracy umysłowej kobiet,“ którą autor wygłosił w Warszawie w szeregu odczytów w końcu kwietnia i początku maja r. b. na korzyść Tow. opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi.

dziowskie. W stanie Wirginii, po czteroletniej walce adwokatki z Waszyngtonu, Miss Lockwood, sąd najwyższy przyznał w r. 1895 kobietom, posiadającym odpowiednie dyplomy uniwersyteckie, prawo do posad sądowych i adwokackich. W Nowym-Jorku zaś przygotowuje się podobno ciekawy projekt do prawa, według którego dzieci do lat 12 powinny być sądzone za przestępstwa i wykroczenia przez kolegium, złożone wyłącznie z kobiet zamężnych. W stanach Waszyngtonu i Wyoming, na mocy ustawy 1883 r., która przyznawała kobietom prawa wyborcze, otrzymały one również możność zasiadania w sądach przysięgłych. Co prawda, już w r. 1885 prawo to zniesiono, i kobiety przestały brać udział w wymiarze sprawiedliwości. To samo, w ciągu jeszcze krótszego okresu czasu, powtórzyło się i w stanie Utah. Na mocy konstytucyi r. 1895 kobiety otrzymały tu prawo uczestnictwa w sądach przysięgłych, ale już w marcu 1896 r. zostało im ono odebrane.

Tem ciekawsza przeto będzie opinia o wartości pracy kobiet na tem polu — samych sędziów koronnych, mężczyzn, przy których współudziale sprawy karne były sądzone przez mieszane komplety przysięgłych, złożone w równych połowach z przedstawicieli obu płci. Świadectwo takie, przytoczone przez adwokatkę z Waszyngtonu, Lelję Rabinsohn, dał członek sądu miejscowego, Grün. „Nigdy—powiada on—w ciągu 12-letniej dawniejszej mojej służby w najwyższym sądzie, nie zdarzyło mi się spotkać bardziej zadawalającego i zasługującego na zaufanie kompletu przysięgłych, jak ów komplet mieszany, z osób obu płci złożony.“

Zresztą w zasadzie trudno znaleźć nawet jakikolwiek rozumny powód do usuwania kobiet od udziału w wymiarze sprawiedliwości. Jeżeli za przeszkodę uważać zwyczaj, tradycyę— będzie to motyw zbyt błahy: wszakże dzięki zwyczajowi, w Europie zachodniej kobiety do ostatnich czasów nie miały prawa być świadkami przy sporządzaniu aktów, nie mówiąc już o tradycyjnem niedopuszczaniu ich do jakichkolwiek urzędów publicznych. Dziś potrzeby życiowe zwyciężyły tradycyę, i kobiety mogą być świadkami i urzędnikami. Nie może tu być przeszkodą brak kwalifikacyj, gdyż z ułatwieniem kobiecie wstępu na wydział prawny, może ona studyować jurysprudencyę na równi z mężczyzną *). Wrodzona zaś jej przenikliwość i subtelność uczuć byłyby najlepszą rękojmią słuszności wyroków wydawanych przez kobietę-sędziego. W większym jeszcze stopniu da się to zastosować do sądów przysięgłych. To też za najzupełniej słuszne uważam zdanie, wypowiedziane jeszcze trzydzieści lat temu przez Prądzyńskiego w pięknem dziele „O prawach kobiety,“ że sąd przysięgłych z udziałem kobiet byłby nader pożądanym nawet w sprawach cywilnych. „Sąd przysięgłych — mówi on — stawiając ducha prawa po nad jego literę, prawdę— po nad formułę, wyższą moralność sumienia — po nad maksymę kodeksową, wniesie nowy czynnik harmonii w stosunki społeczne i pozwoli—przy udziale kobiety nowym natchnąć duchem zapleśniałych ksiąg paragrafy; i będzie to nie zdrożny duch przewrotu, ale jasny, jak promyk słońca, duch chrześciańskiego braterstwa.“

W roku ubiegłym kwestya dopuszczenia kobiet do udziału w sądach przysięgłych podjętą została z wielką energią przez dziennikarstwo francuskie i — jak się zdaje, przedostanie się wkrótce i do parlamentu. Kampanię rozpoczęła pani Tery z feministycznej *Frondy*, a prawnik Hubard napisał dla Izby deputowanych memoryał, w którym dowodzi, że jeżeli podstawą instytucyi sądów przysięgłych jest dopuszczenie do składu sędziów— przedstawicieli wszelkich klas i stanów społecznych, do których należeć mogą podsądni— gdyż oni tylko potrafią dostatecznie zrozumieć i ocenić motywy zbrodni i zdecydować o winie lub niewinności współobywatela — to dlaczegóż od udziału w tym sądzie ma być wyłączona kobieta? Jeżeli jest ona uważana za poczytalną i odpowiedzialną — to i sądzona być powinna przez równych sobie, tj. przez taki skład sędziów, w którym winno być miejsce i dla kobiety.“ Bezstronnym sędzią wykroczeń, popełnionych w sferze obowiązków kobiety, jako żony lub matki, może być tylko taka sama żona lub matka, tj. wogóle kobieta.

*) Pewne wydawnictwo księgarskie w Niemczech „Eberingg“ przygotowało do druku szereg popularnych podręczników do nauki prawa. Część pierwsza redagowana jest w całości przez prawniczkę, Maryę Rasihke; druga — przez znanego profesora Lista, ze współudziałem pani Friede Duensing („Prawo,“ 1902, nr. 17). *Przyp. Autora.*

W rosyjskiej publicystyce ostatnich czasów (w r. 1901) dość energicznie podnoszono sprawę dopuszczenia kobiet do udziału w sądach przysięgłych. Autorowie licznych artykułów w tej sprawie wychodzą także ze stanowiska, że podstawą instytucyi sądów przysięgłych jest prawo obywatela polecania sądowi równych sobie, a między podsądnymi są przecież i kobiety. Prócz tego poznać duszę innej kobiety, zrozumieć wewnętrzne, ukryte, a nieraz bardzo subtelne pobudki i motywy, które ją do zbrodni popchnęły—może daleko lepiej i słuszniej kobieta, niż mężczyzna.

O próbach, przedsiebranych przez kobiety, zajęcia urzędów sędziów śledczych i prokuratorów, nie mamy dotąd wiadomości nawet z Ameryki; urzędy zaś notaryuszów publicznych, na mocy konstytucyi stanów Alabama, New-Jersey, North-Dakota, Ohio i Wiskonsin, mogą być zajmowane przez kobiety na równi z mężczyznami. A, jak donosi *Gazeta Finlandzka*, i w Helsyngforsie miejsce rejenta zajęła niedawno panna Lidja Reuter.

Prawdziwą jednak kością niezgody w walce kobiet z mężczyznami o prawa do pracy okazała się zarówno w Ameryce, jak w Europie, adwokatura. W roli energicznego orędownika praw kobiety do zawodu adwokackiego wystąpił Ludwik Frank, adwokat w Brukselli, wice-prezydent międzynarodowego Towarzystwa feministów i autor monografii „La femme avocat.“ W książce tej zapoznaje on nas z historycznym przebiegiem tej ciekawej walki i z ostatecznym jej wynikiem we Francyi. Dowiadujemy się więc, że jeszcze w starożytnej Judei kobiety prowadziły z dużą energią i talentem polemikę w obronie praw swych jednowierców; u starożytnych Gallów, Celtów i Germanów mężowie nieraz zasięgali rad żon w sprawach społecznych; w Grecyi, jak wiadomo, kobiety dopuszczane były również do sporów i rozpraw filozoficznych. W roli jednak rzeczywistego adwokata kobieta po raz pierwszy, choć nie na długo, wystąpiła na forum rzymskiem, gdzie dano jej prawo bronienia spraw cywilnych w imieniu stron, które spór toczyły. Prawo to zresztą zostało wkrótce zniesione przez kodeks Justyniana. W wiekach średnich spotykamy znowu nazwiska kobiet, które poświęciły się studyom prawnym. Tak np. jeszcze z XII w. zachowały się nazwiska znakomitych prawniczek, dok-

De miseria conditionis humanae.

Wydarzenie, które tu zamierzamy opisać, zaszło jakieś sześć lat temu, lecz tak cicho wszystko wtedy przeprowadzono, że do wiadomości publicznej nic się dotąd nie przedostało, choć tak na wierzących, jak niewierzących w całym świecie niepoślednie mogło wywrzeć wrażenie.

Najznakomitszym mężem stanu, jaki kiedykolwiek zajmował stolicę apostolską, był Inocenty III, pochodzący z możnego rodu rzymskiego hrabiów Segni. Księdzem we właściwem tego słowa znaczeniu on nie był, pomimo swej uczoności teologicznej i pobożnych słów, któremi przepełnione są niezliczone jego pisma i listy. Na tronie papieskim zasiadł w 35 roku życia, po starym i niedołężnym Celestynie III. Pełen energii, zawładnął odrazu kościołem, a myślą sięgał daleko po za dziedzinę piotrową. Dla wielkich planów przedsiebiorczego i zdobywczego umysłu były to czasy szczęśliwe: w Sycylii panował król-dziecko, w Anglii awanturniczy, celu swego i zadań nieświadomy Ryszard Lwie Serce, po którym wkrótce nastąpił słaby i tchórzliwy Jan Bez Ziemi, w Niemczech wrzała walka o władzę między Filipem Staufem a Ottonem Welfem. Jedna Francya miała wówczas króla, Filipa Augusta, który pod względem śmiałości i braku skrupułów dorównywał Inocentemu. Lecz i tego to groźbą, to uległością umiał papież dla celów swoich wyzyskać; gdy się ogłosił obrońcą praw odepchniętej małżonki Filipa Ingeborgi, dla której w gruncie rzeczy nic nie uczynił, ale króla upokorzył i zmusił do wyrzeczenia się ukochanej Agnieszki z Meranu.

Walki i kłótnie książąt niemieckich o koronę cesarską były mu także na rękę. Łaską jego cieszyli się Welfowie, gdyż potężny cesarz z rodu Staufów nie wzbudzał nadziei, że będzie uległym wasalem Kościoła, skoro jednak wybór padł na Filipa Szwabskiego, Inocenty rozpoczął z nim układy w celu zapewnienia sobie wszystkich ustępstw i korzyści, któremi cesarz musiał opłacić swoje uznanie przez papieża i koronacyę w Rzymie. Nim jednak układy ukończone zostały, młody monarcha zginął z rąk mordercy, a Inocenty powrócił do jego współzawodnika, powolnego sobie Ottona IV. Lecz i ten, zostawszy panem wielkiego państwa, nie chciał być wasalem papieża i wykonawcą jego rozkazów. Nastąpiło znowu starcie, a poszło im głównie o królestwo sycylijskie, o którego zawładnięcie pokusił się Otton IV. Inocenty, jako opiekun młodego króla sycylijskiego, wystąpił w jego obronie. Otton zwyciężony, klątwą dotknięty, musiał zrzec się tronu, a miejsce jego zajął młodociany Fryderyk, król sycylijski, z rodu Sztaufów, któremu papież - opiekun ofiarował koronę cesarską. Rozdawnictwo tronów stało się przywilejem Inocentego. W tym samym mniej więcej czasie Jan Bez Ziemi, rzeczywisty, ukoronowany król Anglii, dawszy się marnie nastraszyć, uznał się za wasala papieża. W tej sprawie Inocenty dał dowody bezprzykładnego, nawet w historyi papiestwa, mistrzowstwa i zręczności w polityce. Aby nie zagłębiać się zbytecznie w szczegóły, nic nie powiemy o potędze jego wpływu na półwyspie Pirenejskim, w Dalmacyi, Norwegii i Polsce, o czwartej wyprawie krzyżowej, przez niego zorganizowanej, której następstwem było założenie cesarstwa łacińskiego w Konstantynopolu. Gdy mowa o Inocentym III, nie należy też zapomnieć o wyprawie na Albigensów i okrucieństwach, jakich pod płaszczykiem religii dopuszczano się nad tymi sekciarzami. Tu imię Inocentego III zapisało się w historyi krwawemi głoskami.

W r. 1215, będąc już na szczycie potęgi, zebrał papież koncylium w pałacu Laterańskim. Postanowiono kościołowi nowe prawa nadać, stare wzmocnić i do walki z kacerstwem go usposobić. Lecz życie

torów prawa w Bolonii, Bettiny Cosadiny, Dory d'Arcasso, Bittycyi, Hallorini i innych. A w XIV w. zasłynęły tam również na tem polu córki adwokata Colderiniego, Nowella i Bettina. W okresie czasu od XV do XVII w. o publicznych występach kobiet w charakterze adwokatów nie słychać wcale, chociaż, jak zapewnia p. Reinschmidt-Kuczalska, u nas jeszcze w XV w. sławę adwokata zdobyła sobie Zofia Chodkiewicz. Dopiero w XVIII w. — ale i to przypadkowo — spotykamy się z kobietą-adwokatem we Francyi. Kobieta stała tam wtedy dość wysoko i grała pewną rolę w życiu społecznem, w literaturze, w sądzie, dopuszczono ją więc i do bronienia spraw cudzych. Kodeks Napoleona pozbawił kobietę tego uprzywilejowanego stanowiska: według niego, nie ma ona prawa bronienia nietylko spraw cudzych, ale nawet swoich własnych: do wyjścia za mąż jest córką; później — staje się żoną; ale ani przez chwilę i nie mogła być człowiekiem, cóż dopiero adwokatem! W ostatnich czasach dopiero, gdy w ogólnym ruchu kobiecym w zasadniczej walce kobiety o prawo do pracy, wystąpiła ona z żądaniem, by dopuszczono ją i do zawodu adwokackiego, prawodawstwa różnych krajów Europy zmuszone były wziąć w rachubę to nowe żądanie kobiety, lecz sprawę tę rozstrzygnęły bardzo rozmaicie.

(D. n.).

Atanazy Bardzki.

PAMIĘTNIKI KARWICKIEGO.

Świeżo wydane p. t. „Z moich wspomnień“ trzytomowe pamiętniki Józefa Dunin-Karwickiego, chociaż należą do literatury, nie mają wszakże dla niej znaczenia. Wartość ich jest wogóle— niewielka. Niemniej jednak stanowią one ciekawy dosyć „dokument.“

Trudno określić dokładnie, jakiego czasu dotyczy właściwie ta książka. Chronologiczny ciąg opowiadania obejmuje tu wprawdzie wypadki tylko od czerwca 1854 r. do jesieni 1856 r.; ale pamiętnikarz, zwyczajem ludzi starych, nie trzyma się ścisłej kronikarskiej kolei, lecz to wybiega naprzód, to cofa się wstecz, w miarę napływających pod pióro wspomnień. Lwia ich część obejmuje wypadki kampanii r. 1853—1856, w której p. Karwicki brał udział, jako oficer w pułku pawłogradzkim lejbhuzarów. P. Karwicki wraz z pułkiem swoim pozostawał zdala od głównego teatru wojny; Sewastopol raz tylko i jakby w przelocie ukazuje się pod sam koniec tomu trzeciego. Kampania dunajska 1853—4 r. pozostała również na uboczu; tak więc w całem dziele niema nic, coby dla przyszłego dziejopisa wojny krymskiej mogło być przydatne i zajmujące.

I czytelnik wraz z pawłogradzkim pułkiem huzarów pozostaje bezczynnym, w bezpiecznej odległości umieszczonym widzem, rozgrywającej się w Krymie, tragedyi dziejowej. Zato nudzić się musi społem z p. Karwickim na ustawicznych marszach, leżach, rozjazdach, szczegółach i szczególikach życia obozowego, zrzadka urozmaiconych np. bombardowaniem Odesy lub jakąś wielką rewią.

Ale p. Karwicki nie zadawala się rolą zwykłego opowiadacza wypadków, których był świadkiem i uczestnikiem. Dla zaokrąglenia swoich wiadomości o wojnie krymskiej przeczytał on kilka monografij, poświęconych temu przedmiotowi i, zaopatrzony w broń taką, puszcza się na niepewne fale ogólników historyozoficznych. Wnet jednak spostrzegamy, iż nie z oceanem mamy tu do czynienia, lecz z płyciutką, zabagnioną sadzawką. W jednem miejscu np. pamiętnikarz zapewnia, że gdyby zgodzono się wówczas na pewne propozycye dyplomatyczne, dzieje Europy poszłyby inną koleją: nie byłoby wojny krymskiej, ani kampanii tureckiej 1877—8 r., ani rzezi Ormian w Konstantynopolu i Azyi Mniejszej, lub Greków na Kandyi; więcej jeszcze: Austrya nie straciłaby posiadłości włoskich, nie mielibyśmy wojny francusko-niemieckiej 1870—71 r., Rzym i Państwo Kościelne ocalałyby od „zaboru włoskiego“ itd. Czynić zależnym los kilkunastu krajów europejskich od jednego wypadku, znaczy mniej więcej to samo, co chcieć zagasić płonące miasto — śliną. Z równą ścisłością możnaby znaleść związek przyczynowy między sprawami Australii a tajaniem śniegów na Ałtaju.

Dziejopisarstwo więc niebardzo się udaje p. Karwickiemu, i wątpliwem jest, czy kiedykolwiek historyk zwróci się do niego po informacye. Kampania wywarła silne wrażenie na młodego wówczas oficera, i wspomnienia o niej stanowią dla niego przedmiot pewnego rodzaju dumy. Chwile, spędzone w obozie, p. Karwicki wspomina z rozrzewnieniem. Bo też stosunki koleżeńskie w pułku pawłogradzkim były idealne: oficerowie żyli z sobą, jak bracia, strzegli pilnie wspólnego „honoru oficerskiego,“ „obowiązek oficerski“ stawiając nader wysoko i, jak nieraz powtarza p. Karwicki, mimo pstrocizny etnograficznej— byli pomiędzy nimi Francuzi, Niemcy, nawet jakiś Wołoch — stanowili jedną rodzinę. Nie było również w pułku wybryków hulaszczych. P. Karwicki niejednokrotnie też powtarza, że służba wojskowa, zwłaszcza w czasie kampanii, jest najlepszą szkołą dla młodzieży.

Pamiętnikarz przerywa sobie wciąż wątek opowiadania i przenosi się myślą na rodzinny swój Wołyń. I tu spodziewamy się od niego wiadomości ciekawych i cennych. Bez wątpienia, ta część „Wspomnień“ ma wartość: zawsześ tu w stercie plew znajdzie się czasem ziarnko.

Ale plew co niemiara! Przedewszystkiem musimy wysłuchać cierpliwie całej genealogii i historyi rodu Dunin-Karwickich, pieczętujących się „starym, piastowskim Łabędziem“: więc cioteczno-rodzona siostra jego matki była z domu Potocka, więc hrabina Bnińska rodzi się z siostry jego dziada, a dziad jego, generał Krzysztof Dunin-Karwicki, o którym tyle mówi się z dumą niemałą we wszystkich trzech tomach, położył ongi wielkie zasługi, jak również i drugi dziad, generał Gabryel Rzyszczewski, który niegdyś pułk własnym kosztem wystawił. Więc rodzona babka, Franciszka z Małachowskich, jest córką ostatniego kanclerza w. kor., pradziad zaś— to ks. stolnik Józef Czartoryski, wreszcie starosta Turno—to cioteczny brat jego dziada. Niemałych również honorów doczekała się spokrewniona z Dunin - Karwickimi przez wyżej wymienionego dziada rodzina Rzyszczewskich: jeden z nich ożenił się z hr. Zofią Stadion, siostrzenicą „wielkiego Metternicha,“ drugi został zięciem króla Wiktora Emanuela, trzeci wreszcie pojął za żonę Epsteinównę.

Ale nie dość na tem. Po rodzinie Karwickich autor przechodzi do innych, skoligaconych z nim lub nawet nieskoligaconych rodów, nie oszczędzając nam przytem ani jednej ciotecznej ciotki lub stryjecznej

---

Inocentego było już na schyłku. To wielkie znaczenie, jakie wywalczył w świecie dla siebie i dla papiestwa, kupił za cenę niesłychanych wzruszeń wewnętrznych. A był małego wzrostu i fizycznie stosunkowo dość słaby. Pod koniec zimy opuścił Rzym, być może z powodu febry, która miała kres jego życiu położyć i przez Viterbo, Orvietto i Tedi udał się do Perugii, gdzie przybył 23 maja. Tu dwa miesiące przeżył jeszcze, oddychając świeżem powietrzem stolicy Umbryi, a 16 lipca umarł w 53 roku życia.

Istnieją ciekawe dokumenty, a szczególnie list, opisujący ostatnie chwile tego papieża. Leczył się on podobno cytrynami, i zdaje się, że głównie zaszkodził sobie nadużywaniem tego lekarstwa. Przyszedł atak apoplektyczny, długie godziny nieświadomości, potem śmierć; a jednocześnie w otoczeniu konającego papieża zapanowała radość, gdyż „zbyt już bardzo uciskał wszystkich.“

Gorszych rzeczy dowiadujemy się z listu prywatnego księdza francuskiego, Jakóba de Vitry, który w tym właśnie czasie przybył do Perugii, ażeby otrzymać święcenie biskupie z rąk papieża. Dwór Inocentego zrobił na nim wrażenie nieprzyjemne zgromadzenia zupełnie świeckiego, gdzie rozprawiano tylko o polityce (o królach i królestwach, według wyrażenia listu), sporach i procesach, a o rzeczach świętych nigdy nic usłyszeć nie było można. W liście znajdują się również szczegóły o tem, jak dwór zachował się po śmierci swego despotycznego, groźnego pana. „Inocentego nie zastałem już przy życiu — opisuje ksiądz de Vitry — lecz nie był jeszcze pochowany. W nocy jacyś ludzie odarli ciało jego z szat kosztownych i porzucili je w kościele nagie prawie i cuchnące. Stojąc w świątyni, rozmyślałem ze smutkiem, jak marną, znikomą i krótką jest sława tego świata.“

Z pogrzebaniem ciała, zdaje się, także wielkiego nie zrobiono sobie zachodu. Umarł w sobotę rano, następnej nocy trupa ograbiono, a w niedzielę 17 lipca złożono już do trumny marmurowej, która musiała być zrobiona z płyt prostych i zupełnie gładkich, jeśli tak prędko mogła być gotowa. A nic słyszeliśmy, żeby później ktokolwiek uczcił go wspanialszym, sławie i znaczeniu nieboszczyka odpowiadającym grobowcem. Ta „archa,“ jak ją nazywa jeden ze współczesnych dokumentów perugiańskich, została wmurowaną w ścianę kościoła katedralnego św. Wawrzyńca (gdzie też wstrętne owo ograbienie ciała nastąpiło), obok ołtarza Sant'Ercolano, patrona miasta. Podczas przebudowy świątyni w VI wieku zniszczono ten grobowiec; z taką samą niedbałością postąpiono z pomnikami dwóch innych papieżów XIII stulecia, pochowanych w tejże świątyni: Urbana IV i Marcina IV. Bardzo długo, coś, zdaje się, przeszło sto lat z górą, szczątki tych trzech zwierzchników Kościoła leżały zamknięte w jednej skrzyni na szafie w zakrystyi. Nakoniec w 1615 r. zbudowano bardzo prosty grobowiec z marmuru, w kaplicy św. Stefana, w którym ostatecznie postanowiono złożyć prochy wszystkich trzech razem. Gdy otworzono skrzynię, okazało się, że resztki Marcina i Urbana, ich mitry i insygnia stosunkowo dość dobrze się przechowały, lecz z Inocentego nic już prawie nie pozostało: w paczce, w którą zamknięto jego prochy, nie znaleziono ani śladu szat i oznak papieskich. Widocznie ograbione zwłoki pochowano bez zabalsamowania w takim stanie, w jakim je widział ksiądz de Vitry. To też w XV stuleciu z wielkiego papieża pozostało już tylko parę kostek i garstka popiołu, które w nowym grobowcu przeleżały zamknięte trzysta lat blizko. Lecz nie tu jeszcze skończyć się miały pośmiertne losy tego, przed którym za życia drżeli królowie, a miliony wierzących korzyły się, jak przed pół-bogiem.

Wiadomo, że Leon XIII od 1846 do 1877 r. był arcybiskupem w Perugii, gdzie też w kościele katedralnym, po jego wyniesieniu na stolicę apostolską, stanął posąg jego z marmuru. Lecz mało kto wie o tem, jaką obecny papież czcią pała dla tego swego poprzednika, który na schyłku XII i początku XIII stulecia nawą Piotrową z taką mądrością kierował i był pochowa-

prababki, jak gdyby opuszczenie której z nich równało się zdradzie stanu.

I dopiero, przebrnąwszy przez tę plątaninę genealogiczną, dostajemy się wreszcie do tych nielicznych kart pamiętnika, które mają znaczenie dla szerszego ogółu czytelników. To już nie historya *rodów*, lecz dzieje *ziemi*. I widzimy, jak olbrzymie fortuny magnackie rozpadają się, przechodzą z rąk do rąk, niszczeją. I tu właśnie p. Karwicki—zapewne wbrew swej wiedzy i woli—staje się satyrykiem tego typu społecznego, do którego sam należy. Nie konieczność dziejowa, nie warunki ekonomiczne powodowały najczęściej upadek: w pamiętnikach p. Karwickiego co krok spotykamy takie fakty, że majątek historyczny sprzedaje się lekkomyślnie za cenę bajecznie nizką, że późniejszy nabywca za same klepki z lasu wycofuje sumę sprzedażną, że wyrębuje się bór odwieczny, za który w kilka lat później można było dwadzieścia razy tyle otrzymać; i nieraz za cenę folwarku kupowało się charta lub klacz osobliwszej rasy i urody, a w najlepszym razie pieniądze, uzyskane ze sprzedaży majątku wołyńskiego, umieszczano w banku paryskim, aby je potem stracić w powszechnym krachu, spowodowanym wojną 1871 r. Lekkomyślność, brak troski o jutro, karygodne lekceważenie obowiązków — oto brzydkie pająki, których potworne łapy wysuwają się raz po raz z pomiędzy kart pamiętników p. Karwickiego, a on zdaje się ich nawet nie spostrzegać.

Po za swoją sferę pamiętnikarz nie wychodzi nigdy, jak gdyby prócz szlachty na Wołyniu nie było wcale ludzi. Nadzwyczaj charakterystyczne jest oświadczenie na początku III-go tomu: mówi tu p. Karwicki o pewnym doktorze, pod którego okiem przyszła na świat *połowa Wołyniaków i Wołynianek*, mających dziś 40 do 55 lat. Oczywiście o tych, co przychodzą na świat pod okiem jakiejś „babisi," albo bez żadnego oka, mówić wcale nie warto! To też się o nich nie mówi. Czasem — znowu wbrew woli i wiedzy autora — ukaże się w perspektywicznej dali obraz ubogich wsi i chat kurnych, o których słyszymy wszakże tylko z powodu niedogodności „kwater," lub obraz gawiedzi, przypatrującej się z daleka iluminacyi w parku; zresztą o „prostym ludzie" głucho najzupełniej.

Nie opuści również autor żadnej sposobności pomówienia o ulubionym swoim przedmiocie: o koniach. To, oczywiście, nierównie ważniejsze od „gawiedzi" i „prostego ludu." Maryan Czapski i jego „znakomita" monografia „O koniu" — to autor i dzieło, najczęściej wymieniane na kartach pamiętników: nierównie mniej wzmianek dostało się Mickiewiczowi, Sienkiewiczowi i Polowi. Całe dziesiątki stronic poświęca się jakiejś stajni rozpłodowej, jakimś wyścigom, turczynkowi lub arabczykowi, którego zalety i wdzięki autor wylicza z lubością „starego kawalerzysty." Ale nie gardźmy i temi wiadomościami, bo i one są nader charakterystyczne.

H. Galle.

STANOWISKO SPOŁECZNE PRACY WSPÓŁCZESNEJ.

Jeśli prawdą jest, iż, zgodnie ze słynnym aforyzmem, przedstawiciel pracy wczoraj jeszcze był niczem, a dziś stał się wszystkiem, jeśli istotnie stoi on obecnie w ośrodku postępu etycznego i przeobrażeń dziejowych, to należałoby się ogromnie dziwić, że nauka dotychczas nie sportretowała tej tak wielce interesującej osobistości w naturalnej wielkości i najrozmaitszych pozycyach. Mamy dziś—mówiąc bez najmniejszej przesady — dziesiątki tysięcy prac o sądach przemysłowych i stowarzyszeniach zawodowych, ruchomej skali zarobkowej i dniu roboczym, sekretaryatach pracy i instytucyach patronalnych, ubezpieczeniu społecznem i związkach taryfowych — a jednak brak absolutnie w nauce dzieła, które w sposób wyczerpujący ze stanowiska bardziej ogólnego i jednolitego, z szacunkiem dla faktów, a jednocześnie nie tracąc z oka „sensu moralnego" historyi, dałoby nam zaokrąglony i zwarty ideowo obraz całej dziedziny pracy współczesnej. Od lat kilkunastu zaszły w tej mierze wielkie zmiany ilościowe i jakościowe. A jednak nauka nie trudziła się nawet, aby zrobić bilans tych przeistoczeń historycznych, nie raczyła objaśnić nam, czy stoimy przed zygzakiem lub zboczeniem linii wytycznej, czy też mamy do czynienia z dalszym ciągiem jej właściwego kierunku, ginącym w dali perspektywy przyszłości. Rozmaite przyczyny złożyły się na istnienie luki tak dotkliwej a dla nauki niebardzo zaszczytnej, przyczyny tkwiące zarówno w organizacyi nauki współczesnej, jak charakterze przedmiotu. Dość, że chcąc poznać nowoczesne koleje społeczne pracy, musimy pomiarkować swe żądania i zwrócić się do syntez mniejszego pokroju. Z pracą tego właśnie rodzaju zamierzamy zaznajomić dziś czytelników *). Wprawdzie różnimy się co do stanowiska z jej autorem, prof. G. Schmollerem.

Różnice te są tak głębokie, iż pomimo najszczerszej chęci zabrakłoby nam przesłanek w razie, gdybyśmy chcieli zrozumieć niektóre poglądy autora. Przedewszystkiem należy on do t. zw. szkoły etycznej, wskutek czego nie wyklina w czambuł, nawet jego prawowiernemu sercu niemiłych prądów współczesnych, lecz usiłuje je po swojemu zrozumieć. Co ważniejsza, jako autor doskonałych prac technicznych i badacz, a raczej obserwator ścisły, traktuje fakty sumiennie. A o te właściwie nam tu chodzi. Z tej racyi postanowiliśmy na zasadzie jego najnowszego dzieła odbyć pod jego przewodnictwem wędrówkę po świecie pracy.

Wszystkie dotychczasowe organizacye społeczne były połączone z zależnością klas pracujących od warstwy górnej. Tak działo się za niewolnictwa i poddaństwa, a stosunek ten lubo w formie odmiennej, zachował się pomimo zniesienia tych ustrojów społecznych. Okres wolnej pracy datuje się mniej więcej od lat stu, jakkolwiek już w XIV i XV st. istniały w miastach średniowiecznych szczupłe grupy najmitów wolnych. Od r. 1879 rozpowszechnia się ta nowa forma pracy, a współcześnie jeden kraj za drugim zaprowadza u siebie drogą wielkich reform emancypacyjnych równouprawnienie klas pracujących na punkcie wchodzenia w związki małżeńskie, wolności osiedlania się, wyboru procederu, zawierania kontraktów itd. Odtąd pracownik był pozostawiony samemu sobie i miał zapomocą krótkoterminowych kontraktów najmu zarabiać na swe utrzymanie, a za pobieraną płacę prowadzić własne gospodarstwo. Słowem, powstały nowe warunki, które wymagały zdolności oryentacyjnej, ruchliwości, przystosowania, odporności,

*) Prof. G. Schmoller: *Arbeitsverhältniss, Arbeitsrecht, Arbeitsvertrag und Arbeitslohn* („Soziale Praxis," listopad 1901 do maja 1902).

ny w Perugii. Więc Leon XIII postanowił, że nietylko Inocenty III otrzyma grobowiec, jaki mu się słusznie należy, lecz że będzie pochowany w Rzymie i w kościele Laterańskim, gdzie tak często przebywał. Leon XIII szczególnie upodobał sobie ten kościół i nietylko znaczne sumy wyłożył na przywrócenie jego wspaniałych mozajek, lecz, o ile wiemy, życzeniem jest jego tu spocząć po śmierci, w tej, jego kosztem odnowionej, trybunie. Tymczasem podróżny, który ma cokolwiek pamięci i nie zapomniał, że w Perugii w katedrze św. Wawrzyńca oglądał grobowiec, którego napis głosi, że zawiera szczątki trzech papieżów, Urbana IV, Marcina IV i najznamienitszego Inocentego III, dozna niemałego zdziwienia, kiedy, przybywszy do Rzymu, ujrzy w kościele San Giovanni del Laterano przepyszny monument z postacią papieża i napisem „Inocenty III." Co za zagadka?

Rozwiążemy ją wam zaraz: w Perugii jest napis na grobowcu, lecz to, co głosi, przestało już być prawdą.

Sześć lat temu, przygotowawszy wszystko w największej tajemnicy, wybrał się Monsignor Marzolini z polecenia papieża do Perugii. Tu, w godzinach wieczornych, kiedy drzwi kościoła bywają już zamknięte dla pobożnych, otworzono grobowiec w kaplicy św. Stefana i wydobyto z niego paczkę, zawierającą prochy Inocentego III. Poczem grób znowu zawarto. Dnia następnego pociągiem pospiesznym, w oddziale pierwszej klasy, powracał Monsignor do Rzymu. Miał kuferek ręczny, który postawił tuż nad sobą na siatce.

Pierwszy to raz szczątki pośmiertne papieża podróżowały koleją żelazną, zamknięte w zwyczajnej skrzynce. Czyż to wydarzenie nie stanowi dobrze rzecz malującego dodatku do dzieła samego Inocentego: *De miseria conditionis humanae.*

Ale jak w życiu papieżów średniowiecza pognębienie i upokorzenie szło na przemiany z blaskiem i tryumfem, tak i ta jazda prochów zmarłego w skrzynce, na siatce przedziału pierwszej klasy, obok rzeczy innych podróżnych, była tylko przygotowaniem do wielkiego wyniesienia w 680 lat po śmierci. Wieczorem w powozie przyjechał Mosignor Marzolini ze swą skrzynką z dworca kolei do pałacu Laterańskiego. Tu szczątki zmarłego na nowo zbadano i stwierdzono raz jeszcze, że kości te należały do człowieka wzrostu małego. Następnie złożono je we wspaniałym grobowcu z marmuru i bronzu.

Przyznać trzeba, że z tego wszystkiego rzeczą najbardziej zdumiewającą jest cisza, w jakiej to dokonane zostało i do dnia dzisiejszego przetrwało. Prawo włoskie zabrania przewożenia szczątków zmarłych; żadnego grobu, a tem bardziej osobistości historycznej, nie wolno otwierać bez pozwolenia władzy. Bez skargi niema jednak sędziego. A w dodatku, gdyby nawet prawo chciało swego dochodzić, to faktycznie nie miałoby żadnej do tego słusznej racyi. To, co się stało, było tylko objawem czci, nabożnem życzeniem uświęcenia pamięci tego, dla którego Rzym uważano za właściwsze miejsce ostatniego spoczynku, niż wspólny z dwoma innymi papieżami grób w Perugii — zresztą jest to już faktem dokonanym, z którym walka nie miałaby celu.

Tak więc, po wielu zmiennych kolejach losu, prochy najznamienitszego z papieżów, który niegdyś trząsł Niemcami, Włochy miał pod swą władzą i Anglię zmusił do ukorzenia się przed sobą, znalazły się nakoniec tam, gdzie najchętniej przebywał, skąd potęga i sława jego szeroko rozchodziły się po świecie, i gdzie w spokoju leżeć już będą, aż i dla nich, jak dla wszystkiego, co ziemskie, przyjdzie czas rozpłynięcia się w zapomnieniu i nicości.

(Frankf. Ztg).

energii, poczucia osobistego, zmysłu gospodarczego itd. Co ważniejsza, zniesienie poddaństwa i niewolnictwa w koloniach amerykańskich wyłoniło szereg zagadnień, nad któremi nie wolno było lekkomyślnie przejść do porządku dziennego. Tak np. pewna część obdarzonych „wolnością“ żyła jeszcze na stopie istot napół zezwierzęconych, którym potrzeba było opieki, wychowania i pomocy. Kwitując z wszelkich obowiązków względem emancypowanych np. murzynów, społeczeństwo amerykańskie w sposób cyniczny wydawało ich na łup zwyrodnienia, zdziczenia i nędzy. Inna część znowu, rozpoczynając życie na nowych zasadach, posiadała w niedostatecznej mierze środki produkcyi, a przedewszystkiem grunt. Wyrobnik miejski znalazł się także w zupełnie nowych warunkach bytu. Przedewszystkiem robotę wykonywał nie u siebie, lecz w zakładzie przedsiebiorcy, gdzie musiał zastosować się do techniki, podziału pracy, kierownictwa, zwyczajów i przepisów obowiązujących. Jego pozycya społeczna, życie rodzinne, tryb i stopa życiowa ułożyły się odpowiednio do tego, jak ukształtowały się stosunki jego do przedsiebiorcy, a te znowu zależały od tego, z jakiemi zdolnościami, wykształceniem i majątkiem przystąpił do zawarcia kontraktu najmu pracy (locatio conductio operarum) oraz o jakie instytucye społeczne i organizacye klasowe mógł się przytem oprzeć. Gdybyśmy zechcieli zrobić bilans dotychczasowego zwycięztwa systemu pracy wolnej, to można powiedzieć bez przesady, że stała się ona dobrodziejstwem zaledwie dla jednej trzeciej części warstw pracujących; druga trzecia potrzebowała dziesiątków lat, nim zdołała wżyć się w nowe stosunki, przystosować do gospodarstwa pieniężnego i nadać kontraktowi roboczemu odpowiednią formę; reszta zaś nietylko nie zrobiła postępów cywilizacyjnych w nowej atmosferze życiowej, lecz skarłowaciała i kulturalnie cofnęła się wstecz. Jest to sąd bardzo ogólny, który, jak wszystkie tego rodzaju schematy doktrynerskie, nie daje ścisłego pojęcia o istotnym stanie rzeczy. Dokładniejszego nieco poglądu możemy nabrać, rozpatrując rozmaite składowe części warstw pracujących, klasyfikowane podług tej lub innej zasady.

Naprzód tedy pod względem majątkowym można stwierdzić wszelkie odmiany i szczeble, stanowiące przejście stopniowe do klas wyższych. Tak np. na pograniczu między dwoma światami znajdują się płatni oficyaliści, technicy, agenci, werkmajstrowie itd. Różnica pomiędzy temi grupami a wyrobnikiem pospolitym jest olbrzymia. Dalej mamy rozmaitego rodzaju mieszańców klasowych, którzy pomimo względnej samoistności zawodowej (rzemieślnicy, chłopi) są zmuszeni dorywczo lub częściowo sprzedawać swą siłę roboczą. I tych oddziela jeszcze granica zasadnicza od grupy wyrobniczej. Prócz tego napotykamy śród tej ostatniej ludzi, posiadających domek, ogródek, małe gospodarstwo, rentę itd. Wreszcie dają się zauważyć pewne odcienie ekonomiczne, zależne od wieku i płci. Statystyka wykazuje np., że prawie dwie trzecie klasy roboczej w Niemczech jest w wieku poniżej lat 30. Ta kategorya ludzi bądź ma względnie mniejsze potrzeby od osób starszych, bądź też otrzymuje wsparcie od rodziców i krewnych. Z 12 milionów parobków, które liczyły Niemcy w 1895 r., zaledwie trzecia część była żonatych. Większość robotnic miejskich rzuca swe zajęcie po wyjściu za mąż. Jakkolwiek to może wydać się dziwnem, te żywioły właśnie, które tylko epizodycznie zaciągają się do pracy zarobkowej, najsilniej obniżają skalę płacy. Jądro klasy pracującej stanowią ludzie pozbawieni dodatkowej podpory materyalnej, a z chwilą gdy konieczność zarobkowania najmickiego staje się społecznie dziedziczną, wtedy mamy prawo mówić o istnieniu klasy wyrobniczej.

Daleko większe i dla spekulacyi naukowej donioślejsze odmiany można odkryć, biorąc poziom kulturalny za probierz.

Na szczeblu najniższym znajdują się murzyni krajów kolonialnych, w których kilkuwiekowe niewolnictwo i okrucieństwo przytępiło wszelkie zdolności umysłowe i rozwinęło niechęć do pracy zwłaszcza systematycznej, wymagającej pewnej inteligencyi. Robotnik tego rodzaju nie nadaje się do obsługiwania bardziej złożonej maszyny, a brak potrzeb kulturalnych i napół zwierzęca stopa życiowa robią z niego potulne narzędzie w ręku wyzyskiwaczy i plantatorów, co uniemożliwia jego emancypacyę kulturalną. To samo da się powiedzieć o ludności niektórych krajów rolniczych w Europie.

Nieco wyżej stoją ludy o kulturach prastarych, jak np. Chińczycy i Japończycy. Przyzwyczajeni do pracy ciężkiej, acz niebardzo złożonej, w zakresie kultury przedstawiają bardzo wiele do życzenia. Ponieważ zadawalają się byle jakim zarobkiem, więc są niebezpiecznymi rywalami dla Europejczyka. Pokrewny typ kulturalny przedstawia Włoch współczesny, pracownik bardzo pilny, ale wskutek nieszczęsnych warunków ekonomicznych swego kraju, zbyt skromny w wymaganiach.

Największe postępy cywilizacyjne zrobił wyrobnik Europy środkowej, północnej i zachodniej. Przed stu laty ciężyły na nim jeszcze wszystkie naleciałości i nawyknienia, zaszczepione za czasów poddaństwa. Przeciwny wszelkim udoskonaleniom technicznym, wrogo i podejrzliwie względem nich usposobiony, nie posiadał żadnej ambicyi i świadomości obywatelskiej. Analfabeta, głodomór, a na punkcie potrzeb ludzkich apatyczny asceta, czuł on się raczej żebrakiem, niż kołem podstawowem mechanizmu ekonomicznego. To też bezduszna szkoła manczesterska widziała w nędzy jego czynnik pod względem wychowawczym dobroczynny i oczywiście pożądany. Dopiero skruszenie ostateczne kajdan pańszczyznianych, zaprowadzenie szkoły obowiązkowej, rozwój gospodarstwa pieniężnego na wielką skalę, wolność procederu i osiedlania się, wzrost konkurencyi, zmieniły tę klasę do niepoznania i stworzyły z niej czynnik cywilizacyjny pierwszorzędnej wagi. Co prawda, i tu dla uniknięcia optymistycznych i zawodowych uogólnień należy odróżniać pewne odmiany.

Na dnie tej warstwy spoczywa zwyrodniały, przepracowany i apatyczny „Lumpenproletariat,“ sąsiadujący ze światem zbrodni, włóczęgostwa i prostytucyi. Na prowincyi i na wsi nieszczęsna ta klasa pada ofiarą szalbierskiego przemysłu domowego, którego dotychczas ręka sprawiedliwości państwowej i prawodawczej dosięgnąć nie może. Klasycznym krajem tych szumowin społecznych jest Anglia. Podług obliczeń słynnego K. Botha, stanowią one tu aż ósmą część ludności robotniczej. Niemcy prawdopodobnie najsłabiej są wyposażone w tę plagę. Włochy zaś, Belgia i Holandya nieco bogaciej, najmniej zaś kraje, obfitujące w ziemię wolną, jak Stany Zjednoczone i Australia.

Nieco lepiej są postawieni pracownicy niewykwalifikowani, którzy zresztą nie wyleźli jeszcze ze skorupy stosunków starodawnych. Na tym poziomie znajduje się dziś między innymi Ślązak, Frankończyk bawarski i Turyngeńczyk. Tym właśnie nowicyuszom kulturalnym, ociężale naprzód postępującym, mocno dają się we znaki nowocześni „bandosi“ industryalni w rodzaju Irlandczyków, polskich obieżysasów i Włochów. Na ogół inteligencya, świadomość społeczna i ruchliwość znacznie się podniosły w grupie, o której mowa.

Najwyżej stoją wykwalifikowani wyrobnicy, z tem jednak zastrzeżeniem, że i tej grupy nie będziemy sprowadzali do jednego optymistycznego mianownika. Mamy tu najrozmaitsze stopniowania. Industrya konfekcyjna zatrudnia nieszczęsnych paryasów wyzyskiwanych przez szachrajskich t. zw. Schwitzmeisterów. Pracownicy gałęzi przędzalniczej mają się w Anglii względnie nieźle, ale gorzej na lądzie. Górnicy należą w Anglii do „arystokracyi“ robotniczej, w pozostałej Europie walczą ciężko o swój byt. Wznosząc się w górę po drabinie hierarchiczno-zarobkowej, napotykamy naprzód mularzy, którzy zwłaszcza w Niemczech wzmocnili w ostatnich latach swą pozycyę ekonomiczną, dalej pracowników gałęzi metalurgicznej i wreszcie u szczytu wyrobników przemysłu poligraficznego, sztuki stosowanej itp.

Obszar rozpatrzony tu w grubych zarysach przedstawia się liczebnie daleko pokaźniej, niż się zwykle przypuszcza. Niemcy, kraj dziś pod względem przemysłowym najsilniej rozwinięty, liczyły w 1895 r. 13 mil. najmitów w rolnictwie, handlu i przemyśle, 0,6 mil. oficyalistów instytucyj handlowo-przemysłowych, 0,4 mil. osób o zmiennem zajęciu wyrobniczym, 1,3 mil. sług czyli razem przeszło 15 mil. Jeśli do tego dodać 1,5 pracowników urzędów państwowych, kolei, poczt itd., to okaże się, iż z 20,7 mil. osób, czerpiących swe dochody z handlu, rolnictwa i przemysłu, przeszło 16 mil., czyli trzy czwarte, utrzymuje się z płacy roboczej lub zarobku tytułu pokrewnego. „Nie powiemy za wiele— woła prof. Schmoller — twierdząc, iż niemasz kwestyi ekonomiczno-społecznej ważniejszej, niż zagadnienia stosunku roboczego. Od niego zależy przyszłość naszego ustroju społecznego.“ O odnośnych instytucyach pomówimy następnym razem.

(C. d. n.)

H. Przedm.

FEJLETON.

Bajeczki.

Pewnego razu nadleciał rój muszek wiosennych i począł brzęczeć koło okna, w którem siedział zatroskany gospodarz. Myślał o wygniłych oziminach, o zaległych podatkach, o przekwitłej córce, o przekwitłych dobrych czasach, jeżeli kiedykolwiek były, o przekwitłych marzeniach, które na pewno były... I niespodzianie łza zawisła mu na rzęsach, kapnęła na okno, stoczyła się na goździk, na którym właśnie siedziały dwie muszki i gwarzyły w ten sposób:

— Jak ci ludzie przeszkadzają! Nawet spokojnie porozmawiać nie można, bo ani wiesz, kiedy ci spadnie na głowę łza takiego wielacha...

— Ukąś go!

— Nie wdaję się z ludźmi. Bo, patrz, czem zajęta jest ich myśl! Orać, siać, bronować, żąć, młócić, młynkować, mleć, piec — co za życie!

— Bydło robocze!

— Ja mam inne ideały. Spojrzyj na tę jaskółkę, która śmiałym lotem przewinęła się w tej chwili nad nami. Człowiek niby to szanuje ją, bo ostatecznie dopuszcza, aby pod jego dachem ulepiła sobie gniazdko. Ale wczoraj widziałam, jak dziatwa rzucała za nią kamieniami. Hołota!

— Straszna hołota!

— Oni nas, lataczy, prześladują. Ulećmy w sfery wyższe.

— Ulećmy!

I tu muszki rozwinęły swe maleńkie skrzydełka, kąpały się w promykach słońca, brzęczały radośnie, gdy nagle...

Zamroczyło się na chwilę powietrze i owa wielbiona jaskółka w przelocie chwyciła dziobkiem swoim obie muszki...

. . . .

Wiadomo jest, że sny miewają nietylko ludzie, ale także psy, i to, jak się zdaje, bardzo bujne sny, gdyż niekiedy przez sen warczą, poszczekują i wogóle bardzo są niespokojne.

Otóż razu jednego śniło się pewnemu psu, że jest księżycem, że płynie ponad ziemią śród majestatycznie cichej nocy i że w dole gromadzą się całe sfory szczekaczy, które ku niemu ujadają. Długo milczał w świetlistym spokoju; ale wreszcie poczęła mu się jeżyć sierść promieni. W końcu nie mógł wytrzymać, warknął, szczeknął — i zbudził się.

Zamiast gwiaździstych firmamentów — barłóg, buda, łańcuch. Długo usiłował się opamiętać i pytał sam siebie:

— No, ostatecznie, czy ja księżyc, czy ja pies?

. . . .

Onego czasu myszy, idąc za wzorem słowików i skowronków, założyły towarzystwo muzyczne. Gromadziły się w piwnicach, odbywały próby duetów, tercetów, kwartetów żeńskich i męzkich, chórów. Piszczały mniej lub więcej udatnie, aż nadszedł dzień klęski.

Bo oto domostwo zgorzało. Ludzie ratowali się, jak mogli, wynosili dobytek, płakali, lamentowali. Myszy rozbiegły się; tylko dwie podobno udusiły się w dymie.

Po kilku dniach zebrały się na zgliszczach i przypomniały sobie o swem towarzystwie muzycznem. Ale jak tu muzykować pod gołem niebem, z którego w tym podłym klimacie co chwila kapie! Czemu ci ludzie domu nie odbudują?

Spłakani ludzie nie mogli się jednak wziąć do roboty, gdyż miała zjechać komisya ogniowa i straty oszacować. Siedzieli pod drzewami, ziębli, mokli i — czekali.

A myszy patrzyły na nich z nienawiścią, śmielsze zaś podchodziły do ludzi i piszczały:

— Nuże, kiedyż odbudujecie dom? Głosy potracimy na tym ziąbie!

. . . .

Od kilku tygodni w teatrze Siemaszkowa szaleje jako „szalona Julka.“ Oklaski z teatru Letniego słychać nawet przy rogatkach Mokotowskich. Wyzwalająca się Julka z zatęchłego gniazda rodzinnego ku słońcu swobody, człowieczeństwa, święci tryumf; protestuje potężnie przeciw „głupiej, idyotycznej, operetkowo śmiesznej pannie na wydaniu,“ która zna tylko jedną modlitwę, modlitwę dziewicy, śpiewaną na nutę Bądarzewskiej, rano, w południe i wieczorem: „O Boże, daj mi męża, daj męża, daj męża!.. O Boże, daj męża, daj męża, daj męża!..“

Podobno ojcom i matkom wszystkich warszawskich Julek popuchły ręce od bicia oklasków...

Kisielewski pisał to przecież na Kraków!

. . . .

Może i niniejsze bajeczki, choć w znacznie skromniejszym zakresie, spodobają się czytelnikom. Aby jednak się upewnić, dodaję na wszelki przypadek, że przyszły mi do głowy — w Krakowie...

Andrzej Niemojewski.

PAMIĘTNIK.

Świtezianki.

Kanclerz niemiecki, hr. Bülow, dla określenia niebezpieczeństwa ze strony Polaków, użył ślicznego porównania, o którem Heine powiedziałby; „es roch nach Katzenjammererguss.“ Są to, według niego, mnożne króliki, i ażeby zapobiedz następstwom ich groźnej płodności, trzeba użyć środka stosowanego przeciw królikom... w Australii — szczepić im zarazę. Zarazę tę określono nawet jako „germanischer Kulturbazilus.“ Właściwie szczepienie tej „kultury“ odbywa się już dawno, ale ponieważ nie wydało ono pożądanych rezultatów, więc będzie wzmocnione za pomocą nowych zasiłków dla pracowni bakteryologicznej, zwanej komisyą kolonizacyjną. Pomimo jednakże całej wiary w jej skuteczną robotę, patryotyzm „zagrożonych“ Prusaków urządza konkurs pomysłów, mających odeprzeć „niebezpieczeństwo.“ Między innymi godzien uwagi projekt ks. Bismarcka, który małą swoją główką naśladując ruchy wielkiej głowy zmarłego ojca, wezwał swych rodaków, ażeby nie żenili się z Polkami. Te zdradzieckie Świtezianki są, według niego, głównemi sprawczyniami nieszczęścia, zwabiają bowiem czułych i łatwowiernych Prusaków do swego jeziora i tam ich topią. No, miłe rusałki, przygotujcie się na to, że po ostatniem posiedzeniu pruskiej Izby panów, na którem wygłoszono ostrzeżenie, zmniejszy się wam liczba oblubieńców i... ofiar. Bo p. Bismarck, zdaje się, szczerze jest przekonany, że Polki prowadzą cichy, ale nieodparty podbój na Prusakach z celem politycznym. Przeczy to prawom fizyki, a jednak jest niewątpliwym faktem, że w tej samej przestrzeni, którą całkowicie wypełnia mały rozum, zmieścić się może ogromna głupota.

Niepotrzebna dyscyplina.

Z powodu wystawienia w Warszawie opery „Manru,“ która nie zdołała zapełnić widowni teatru po kilku wieczorach, dzienniki chwyciły znowu starą dyscyplinę dla ukarania publiczności za obojętność względem oper swojskich. Czy ta chłosta jest zasłużoną? Czy mniemana wina publiczności nie jest bezwiedną, ale sprawiedliwą redukcyą zbyt przesadnej reklamy? Nasza prasa brukowa każdą nową operę polską mianuje „arcydziełem.“ Taki tytuł otrzymały dawniej wszystkie utwory Żeleńskiego, a obecnie Paderewskiego i Noskowskiego. Te arcydzieła po kilkunastu przedstawieniach, gdy się wyczerpie ciekawość „premierowa,“ schodzą z repertuaru, na który wracają bardzo rzadko. Otóż czy podobna przypuścić, ażeby rozmuzykalniona i rozteatrowana publiczność warszawska była do tego stopnia ślepa, że nie może dostrzedz blasku istotnych arcydzieł i tak dalece zwyrodniała, że uczuwa wstręt tylko do utworów swojskich? Chyba tak nizko nie upadła, a wymownym na jej obronę dowodem jest wieloletni zapał do „Halki,“ wystawionej i wysłuchanej setki razy. Więc zbadać warto, czy różnica między opinią reklamującej prasy a sądzącej publiczności nie pochodzi stąd, że pierwsza mierzy powodzenie dzieła ogromną skalą swej fikcyi, a druga stosuje szczerze swoje uznanie do jego wartości rzeczywistej? Według nas istnieje tylko jeden sposób usunięcia tych chronicznych nieporozumień: trzeba unikać reklamy, przedymania sławy, wszystkich sprężyn dziennikarskiego humbugu, a oceniać każdą pracę krytycznie, sumiennie, bezstronnie. Wtedy przekonamy się, że publiczność, nieodurzana i nierozczarowywana przesadą, uczci każdy artystyczny kwiat ze swojskiej niwy należycie i nawet tę cześć podniesie o naturalną dodatkową nadwyżkę, jaką każdy naród zapewnia swoim płodom rodzinnym. Jest to bardzo wiele i dla twórcy i dla jego społeczeństwa, gdy w jakiemś dziele powitamy nabytek piękny, cenny, niezwykły; po co zaraz na niem przylepiać nazwę „arcydzieła,“ która za kilka miesięcy się odklei i po co używać dyscypliny na tych, którzy nie chcą jej zwilżać swoim językiem?

W sprawie Muzeum pokoju.

Z poważnej strony otrzymujemy list następujący:

„Niepodobna zgodzić się na to odsądzenie od wartości instytutu Blocha w Lucernie, jakiego dokonał autor wzmianki w poprzednim numerze *Prawdy*. Naprzód bowiem zakłady tego rodzaju, unaoczniające rozwój jakiejkolwiek gałęzi produkcyi i dzieje jakiejkolwiek dziedziny życia ludzkiego, są niezmiernie pouczające, a ich cel stanowi podstawę wszelkich muzeów. Powtóre „Muzeum wojny i pokoju“ Blocha zawiera istotnie bardzo bogaty zbiór nietylko rozmaitych narzędzi, wymyślonych i używanych do wzajemnego mordowania się ludzi na polach bitew, ale także mapy, obrazy starć, plany, statystyczne obliczenia kosztów i strat, wzory mostów, uzbrojeń, mundurów, a wszystko to mieści się w rozległym zakresie, począwszy od wypraw Cezara a skończywszy na wojnie anglo-boerskiej. Potrzecie, nie ulega żadnej wątpliwości, że wszystkie te środki i sposoby, które są dziś przedmiotem wielkiej czci i dumy, przejdą kiedyś wyłącznie do muzeów, czyli że instytucya Blocha należy do przyszłości. A ponieważ ona obecnie wywierać będzie dodatni wpływ, gaszący w sercach ludzkich ogień nienawiści i pragnień mordu, więc również dla teraźniejszości ma znaczenie doniosłe. Poważę się nawet twierdzić, że z całej publicznej spuścizny Blocha ta jej część posiada największą wartość.“

Społeczeństwo i młodzież.

W pismach codziennych spotykamy się coraz częściej ze słowami ostrej nagany i potępienia, zwracanemi przeciw pewnej części młodzieży szkolnej, której zachowanie się na ulicy, w ogrodach, na koncertach i w tym podobnych miejscach publicznych budzi słuszne niezadowolenie i niesmak. Trudno istotnie o przykrzejsze wrażenie, niż to, którego doznajemy na widok wyelegantowanego od stóp do głów wyrostka w mundurze szkolnym, zaglądającego cynicznie w oczy przechodzącym kobietom lub opowiadającego głośno towarzyszącym mu kolegom pieprzne anegdotki, jakich nie powstydziliby się nawet znacznie starsi kawalerowie, pokrywający swe przepełnione mądrością głowy nie czapeczką gimnazyalną, lecz błyszczącym olśniewająco cylindrem.

Lecz pomijając już nawet okoliczność, że przykład idzie często z góry, nie sądzimy, aby takie, preparowane naprędce, kazania dziennikarskie, mogły tu wywrzeć wpływ donioślejszy, a zbyt częste ich powtarzanie może w końcu spowszednieć zupełnie. Zło jest złem, temu nikt nie przeczy, lecz, jak powtarzaliśmy już nieraz, usuwać trzeba jego przyczyny, a nie walczyć bezskutecznie z objawami. A tymczasem czy u nas pomyślał kto poważniej o dostarczeniu licznej rzeszy młodzieży szkolnej jakichś uszlachetniających lub choćby tylko zużywających nadmiar energii fizycznej rozrywek? Czy np. urządzane są dla niej, w dni świąteczne przynajmniej, osobne przedstawienia teatralne z nizkiemi cenami i odpowiednio dobranym repertuarem? Czy ma ona jakieś, tak rozpowszechnione gdzieindziej, stowarzyszenia literacko-artystyczne lub choćby tylko sportowe, gdzie mogłaby ćwiczyć się w wiosło-

waniu, jeździe konnej, fechtunku, urządzać gry i zabawy na otwartem powietrzu itp.?

O niczem podobnem nie słychać, niestety, i nikt o tem nie myśli poważniej. My lubimy poprzestawać na wyrzekaniach gderliwych, i to tam głównie, gdzie czyny tylko mogłyby jako tako zaradzić złemu. Nie dosyć jest posyłać synów do szkół, dostarczać im mundurów i książek, należy jeszcze dawać im *wychowanie* w szerokiem tego słowa znaczeniu, i tu właśnie jednostka ma prawo liczyć na pewne współdziałanie ze strony społeczeństwa, lecz, jak dotąd, czeka u nas na nie — naprożno.

Przed wakacyami.

Stale prawie przed wakacyami wraca na szpalty dzienników sprawa wynagrodzenia nauczycieli i nauczycielek, wykładających w naszych prywatnych, żeńskich zwłaszcza, zakładach naukowych. Nic dziwnego, jest to bowiem kategorya pracowników, narażonych, podobnie jak mularze, na przymusowy odpoczynek w pewnym okresie czasu, wobec czego przed niejednym i niejedną z nich staje co rok natrętne pytanie: z czego żyć przez te dwa miesiące „bezrobocia" wakacyjnego, tak niezbędnego skądinąd dla odświeżenia sił, wyczerpanych całoroczną pracą zawodową?

Są nauczyciele, a wyjątkowo i nauczycielki, którym wynagrodzenie miesięczne pozwala odłożyć coś na czas wakacyjny (o odkładaniu na starość można co najwyżej pomarzyć, i to w chwili wyjątkowego przypływu optymizmu). Część nauczycielek posiada rodziców lub mężów, co zwykle również sprawę rozstrzyga. Lecz pozostaje i tak znaczna większość, dla której jedynem źródłem utrzymania jest zarobek nauczycielski, jedyną formą pracy — nauczycielstwo.

Dla tej właśnie większości pracowników i pracownic w zawodzie pedagogicznym miałoby ogromne znaczenie ustanowienie jakiegoś *minimum* wynagrodzenia za lekcye, chociażby na początek tak nizkiego dla nauczycieli i „dam klasowych," o jakiem pisze p. Kaprys w *Kuryerze Warszawskim.* Wynagrodzenie to przytem powinno być bezwarunkowo obliczane *rocznie* (nigdy na godziny, z wytrąceniem za święta i chorobę) i dzielone na 12 miesięcy, nie na 10, jak obecnie przyjęte jest prawie ogólnie.

Miejmy nadzieję, że zatwierdzona świeżo kasa pożyczkowo-oszczędnościowa dla nauczycieli i nauczycielek prywatnych przyczyni się u nas skutecznie do skupienia rozproszonego dotąd żywiołu pedagogicznego i że nowa ta, a tak pożądana instytucya weźmie na barki swe między innymi i ciężar odpowiedniego unormowania *minimum* wynagrodzenia za lekcye, a w razach sporów lub niedotrzymania umowy potrafi się ująć za stroną pokrzywdzoną.

BADANIA NAUKOWE.

Zróżnicowanie się rodzaju ludzkiego.

(Według prof. Lindley M. Keasbey).

Zoologicznie rodzaj ludzki stanowi jeden gatunek, w którym z biegiem czasu dopiero wyodrębniło się i oddzieliło kilka grup różnych pod względem etnologicznym. Różnice są naturalnym wynikiem wpływów otoczenia i doboru naturalnego, działających w długim szeregu przyczyn na podatny i do zmian skłonny ród ludzki.

Najnowsze badania paleontologiczne dostarczają nam zupełnie wiarogodnych dowodów, że do okresu lodowego ludzkość stanowiła całkiem jednolitą gromadę; różnolitość pojawiła się dopiero w okresie lodowym. Możemy więc twierdzić z wszelką słusznością, że pierwsze różnice etnologiczne wystąpiły pod wpływem zmian geograficznych, zaszłych w owym czasie. W miarę, jak pola lodowe posuwały się od biegunów ku środkowi ziemi, a równik termiczny ulegał długim wahaniom, klimat obu półkul, północnej i południowej, bywał na przemiany to zimny, to umiarkowany; w związku z tem zmieniała się i natura powierzchni ziemi, co też i na człowieka oddziaływać musiało. Po ostatecznem cofnięciu się lodów, gdy postać ziemi przybrała stopniowo kształty historyczne, ustalił się dzisiejszy podział na strefy. Odtąd nie było już znaczniejszych zmian w ogólnych warunkach geograficznych ziemi, lecz zato utrwaliły się różne właściwości miejscowe, wytwarzające duże odrębności topograficzne i klimatyczne, przeistaczające naturę przyczyn, wywołujących różnicowanie się rodzaju ludzkiego: dotychczasową zmienność otoczenia zastąpiła różnorodność tego otoczenia i wpływów jego na człowieka. To wywołało potrzebę przystosowania się do nowych warunków życia, następnie zróżnicowanie się jego, a ostatecznie zupełne wyodrębnienie całej grupy od reszty gatunku. Częste wędrówki i ciągłe mieszania się ras ludzkich tak splątały gałęzie drzewa genealogicznego rodzaju, że niepodobna wytknąć dokładnych wśród niego podziałów etnologicznych. Te, które jedynie mieć możemy, udało nam się osiągnąć za pomocą metody analitycznej. Na podstawie kształtu czaszki, tkanki włosów, zabarwienia skóry i ogólnej budowy kośćca, etnografowie przyjęli podział ludzkości pierwotnej na cztery grupy: murzyńską czyli czarną, mongolską — żółtą, kaukaską — białą i amerykańską — czerwoną.

Niepodobieństwem jest naturalnie wykazać chronologicznie, kiedy nastąpiło wytworzenie się tych różnic. Ściślej możemy tylko określić w czasie istnienie żywiołów i przyczyn geograficzno-przyrodniczych, uzależniających powstanie danych odrębności etnograficznych i na tej drodze, choć z wielu zastrzeżeniami, wytknąć linię tworzenia się ras i oznaczyć warunki otoczenia, w jakich zróżnicowanie się rodzaju ludzkiego nastąpić mogło.

Temu podziałowi ludzkości na cztery grupy etnologiczne odpowiada mniej więcej geograficzny podział ziemi. Z archipelagiem Indyj Wschodnich, kolebką rodu ludzkiego, stykają się siedziby trzech z tych ras, czwarta mieści się wprawdzie na przeciwnym, lecz w północnej stronie z wielkim lądem wschodniej półkuli połączonym krańcu ziemi.

Pierwszy stopień wyodrębnienia się gatunku ludzkiego (*Pithecanthropus erectus*) powstał, jak wiemy, na wyspach archipelagu Indyjskiego, w klimacie wilgotnym i gorącym, wśród lasów podzwrotnikowych. To otoczenie wycisnęło swoje piętno na pierwszym człowieku i wytworzyło typ pierwotny. A ponieważ po za obrębem kolebki jego rodu na tym całym obszarze pasa równikowego półkuli wschodniej, który wówczas ciągnął się nieprzerwanie od zachodniego wybrzeża Afryki po przez częściowo dziś zatopiony ląd indo-afrykański w głąb Melanezyi i Australii, warunki otoczenia nieznacznym tylko uległy zmianom, więc i typ pierwotny przechował się prawie nienaruszony i w twarzy dzisiejszego murzyna, potomka pierwszych mieszkańców tej ziemi, odbija się wielkiem podobieństwem do praszczura całego gatunku. Etnologicznie rasa ta uważana jest za najniższą, choć w całości swej przedstawia wielką rozmaitość rozwojową: od pigmeja, zamieszkującego lasy podzwrotnikowe, i murzyna najczystszej krwi, zajmującego ziemie, położone w środku pasa równikowego, do mieszkańca, siedzącego na krańcach tego obszaru i z innymi stykającego się ludami. Cechy typowe tej rasy stanowi: skóra czarna, włos krótki, kędzierzawy i płaski w przecięciu poprzecznem, głowa długa ze szczęką wystającą, stopa płaska, nos szeroki i czarne, okrągłe oczy.

Następne rasy ludzkie zróżnicowały się na półkuli północnej. Tu, wśród zmiennych warunków okresu lodowego, inaczej ułożyć się musiało życie wychodźców z pięknej indomałajskiej ojczyzny, to też i typ ich fizyczny napiętnowała i przekształciła walka, jaką wciąż z otoczeniem swem staczać musieli. Wszyscy oni — żółci, biali i czerwoni, w zestawieniu z murzynem podzwrotnikowym—są wytworem strefy umiarkowanej. Lecz choć wszystkim żyć przeszło w tych samych niemal warunkach klimatycznych, otoczenie geograficzne grup poszczególnych tak bardzo się jednak różniło, że to wywołać musiało wielką rozmaitość obyczajów, zajęć, a więc i typu.

Ten obszar ziemi, zwany lądem azyatyckim, oddzielał od kolebki rodu ludzkiego łańcuch niebotycznych Himalajów, uniemożliwiając wszelką z nią łączność. Ci więc, którzy przejściami, wiodącemi między pasmami gór, biegnących z północy na południe półwyspu Indochińskiego, przedostali się na rozległą jego równinę, długie wieki pozostawali wyłącznie pod wpływem swego otoczenia. Wnętrze tego obszaru zajmują po większej części posępne płaskowzgórza i bezleśne równiny stepowe o klimacie niezmiernie różnym, od gorącego pod zwrotnikiem do zimnego pod biegunem. W głębi lądu ciągną się dzikie pustynie, leżą morza wewnętrze, szumią tajgi i wielkie rzeki płyną wartko.

W następstwie tych różnic klimatyczno-topograficznych w rasie mongolskiej wytworzyło się wiele odmiennych grup: są plemiona, zamieszkujące płaskowzgórza, inne — koczujące w pustyniach i stepach, zaludniające lasy i osiadłe w dolinach. Pomimo różnic, typ ogólny przechował się wiernie w okrągłej głowie, wystających kościach policzkowych, tkankach i zabarwieniu skóry, grubym, prostym włosie, okrągłym w przecięciu poprzecznem, cienkich, bladych wargach i małych, skośnych oczach.

Na indo-europejski, śródziemnomorski kontynent dostęp otwarty był z dwóch stron: od pasa równikowego z południowego wschodu i od lądu azyatyckiego z północnego zachodu, więc też i przodków tak zwanej rasy kaukaskiej w tych dwóch kierunkach poszukiwać należy. Najprzód w czasach najdawniejszych od południowego wschodu, z głębi lądu indo-afrykańskiego przybyli tu długogłowi Negrytowie i rozsypali się po Europie. Cokolwiek później, od wschodu, przejściem między górami Uralskiemi a morzem Kaspijskiem, wtargnął drugi taki potok krótkogłowych Azyatów i zmieszał się z pierwotnymi mieszkańcami tych stron. Dziedzicznie więc człowiek biały jest mieszańcem czarnej i żółtej rasy, przerodzonym i przetworzonym przez odrębne warunki swego nowego otoczenia, uderzającego przedewszystkiem nadzwyczajną różnorodnością tak pod względem klimatycznym, jak topograficznym i geograficznym. Całość tej ziemi da się podzielić na trzy części: indyjską, zlewającą się nieznacznie ze wschodnim lądem podrównikowym, europejską — stykającą się z obszarem azyatyckim i śródziemnomorską — łączącą tamte obie. Na przestrzeni wszystkich trzech panuje niesłychana rozmaitość: lasy, wzgórza, doliny, nagie skały, wiecznym śniegiem pokryte góry, bezdrzewne, bujną trawą porosłe stepy, dzikie bezludne pustynie, jeziora, moczary, rzeki i morza z nadzwyczaj urozmaiconą, poszarpaną linią wybrzeży— wszystko tu się skupiło, co po całym obszarze kuli ziemskiej jest rozrzucone.

Tej różnorodności otoczenia przyrodniczego odpowiada rozmaitość etnograficzna ludności, która wśród ciągłych wędrówek, bezustannego napływu nowych żywiołów, pod naciskiem konieczności przystosowania się do warunków życia, tak się wciąż mieszała i przeradzała, że choć łatwo można odróżnić człowieka białego od ras innych, jest jednak pewna trudność w dokładnem określeniu typu kaukaskiego. W gruncie rzeczy istnieje tylko jedna wspólna właściwość, mianowicie włosy, które u wszystkich są przeważnie faliste, a w przecięciu poprzecznem zawsze owalne; zresztą ogół rasy przedstawia trzy mniej więcej wyraźne typy: ciemnowłosego, oliwkowego Śródziemca, zróżnicowanego, do warunków otoczenia przystosowanego potomka pierwotnego Negryty; jasno-włosego i jasnoskórego Europejczyka, który pochodzi bez wątpienia od Śródziemca i Azyaty, lecz w czasie długich wędrówek między wyżyną Pamiru a morzem Baltyckiem stracił dawne swe cechy; i wreszcie ciemno-skórego i czarno-włosego Inda, który w czasach przedhistorycznych przybył z równin północnych i zapanował nad czarnym, zaledwie zróżnicowanym ludem, zamieszkującym półwysep.

Wyspy oceaniczne, stanowiące przejście od wschodniej do zachodniej półkuli, wskutek specyalnych warunków swego położenia, otrzymały zaludnienie z trzech źródeł: od rasy czarnej, kaukaskiej i mongolskiej. Najpierwszymi przybyszami byli Negrowie, którzy zjawili się tu prawdopodobnie jeszcze wtedy, gdy wschodnio-podrównikowy obszar stanowił jeszcze jeden nieprzerwany, w głąb oceanu Południowego zabiegający kontynent. Zachowali też dotąd etnologiczne podobieństwo do swych krewniaków afrykańskich. Wyjątek pod tym względem stanowią Australczycy, których pochodzenie rasowe jasno się nie rysuje, choć prawdopodobnie są także potomkami Negrów; lecz tak długo żyli w odosobnieniu na swej ziemi, że właściwości specyalne musiały się wytworzyć.

Biali dostali się też tu z półwyspu Indyjskiego po wyspach archipelagu (prawdopodobnie w małych żaglowych łodziach malajskich) i rozsypali po wszystkich wysepkach Polinezyi. Po dziś dzień istnieją pomniki i zabytki kamienne, świadczące o ich przejściu. W czasie tego pochodu musiało nastąpić zmieszanie się Indów z żywiołem miejscowej ludności czarnej i przystosowanie do odrębnych warunków otoczenia. Lecz pomimo to typ pierwotny wychodźców przechował się w ich potomkach, zamieszkujących Polinezyę. Mongołowie, którzy z lądu azyatyckiego przybyli tu cokolwiek później, wsiąkli również w to podłoże, z którego wyszła rasa mieszana malajska i rozlała się na całej przestrzeni. Zaludnienie tej części świata tak się przeto przedstawia: w Melanezyi, na wielkich wyspach podzwrotnikowych przeważają Negrowie; w Polinezyi, rozrzuceni po archipelagach, mieszkają potomkowie ludów starożytnej odrośli kaukaskiej; na wyspach Malajskich większość stanowią mongolscy Malajowie, a na stałym lądzie Australii przechowała się ludność odrębna od Negrów pierwotnych prawdopodobnie pochodząca.

Nie od strony indo-malajskiej jednak przyszło zaludnienie dla zachodniej półkuli ziemskiej, na której obszarze wytworzyć się miała czwarta grupa rasowa ludzkości. W epoce pierwszego jej rozproszenia po świecie pomostem, łączącym Amerykę ze wschodnią półkulą, były przejścia podbiegunowe w Azyi i Europie. Tą drogą dostać się tu musieli z jednej strony od północnego zachodu długogłowi Śródziemcy, z drugiej od północnego wschodu krótkogłowi Azyaci. Przypuszczenie to potwierdza przewaga typu długogłowego wśród plemion zamieszkujących wschód Ameryki, a krótkogłowego na zachodzie. Połączenie lądowe z Europą znacznie jednak prędzej, niż z Azyą zerwane zostało, — do której jeszcze w czwartorzędowej epoce suchą nogą z Ameryki przedostać się można było; to też Azyę uważać musimy za główne źródło wychodźtwa do nowego świata.

Ci jednak, którzy tu przybywali, tak z jednej, jak z drugiej strony dalszy pochód w głąb lądu mieli zatamowany. Oderwani od dawnych siedzib, skazani na wzajemne odosobnienie w nowych, żyć odtąd mieli i przeradzać się pod wpływem tych warunków i tego otoczenia, które wydać miało rasę czwartą — czerwonoskórych o cerze miedzianej, czarnych w przecięciu poprzecznem prawie okrągłych włosach, niewielkich, głęboko osadzonych czarnych oczach, orlim nosie, wydatnych szczękach i kształtnej postawie.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Ignacy Matuszewski w swej książce o Słowackim i modernizmie.

Spółcześnie z książką Matuszewskiego ukazało się wiele innych, poświęconych charakterystyce „młodej Polski," parę „zarysów syntetycznych," których autorowie oddają się poszukiwaniu „ideału współczesnego." W tym szeregu dzieło p. Matuszewskiego należy uznać za jedno z najwybitniejszych i najświetniejszych zjawisk, za pracę, odznaczającą się w równej mierze szerokością poglądów, jak i spokojnością wykładu. Dla zoryentowania się wśród rozbieżnych często prądów „nowej sztuki," posiada ona z wielu względów duże znaczenie teoretyczne. Jest przedewszystkiem wynikiem szerokiej podstawy porównawczej, na której autor zwykł opierać swe wnioski. Okoliczność ta oddawna zapewniła pracom p. Ig. Matuszewskiego odrębne stanowisko, wzmocnione świeżo znakomicie ostatnią jego książką o Słowackim i nowej sztuce.

Niewielu wogóle posiadamy pracowników na polu badań porównawczych, a wśród nich autor świeżo wydanego dzieła uważany być może, obok M. Zdziechowskiego, za jednego z najpoważniejszych i już najzasłużeńszych. Zestawianie zjawisk pokrewnych, jakkolwiek oddalonych od siebie różnicą osób, czasu, narodu lub środowiska, jest nietylko świadomem zadaniem tego pisarza (przypomnijmy sobie choćby treść „Czarnoksięstwa i medyumizmu" lub „Dyabła w poezyi"), lecz stało się do pewnego stopnia formą niejako jego myśli, położyło nieraz pieczęć swą na jego stylu.

Z samego tytułu najnowszego dzieła (jak to zresztą i dawniej się zdarzało) możemy wywnioskować poniekąd, w jakim zakresie autor pragnie zawrzeć swe dociekania: „Słowacki i nowa sztuka." Istotnie, znajdziemy tam szereg zestawień między Słowackim (i kierunkiem, który wyobraża), a współczesnymi prądami sztuki lub poszczególnymi jej przedstawicielami. A tuż obok pokrewieństw, obok znamion wspólnych — przeciwieństwa, uwydatniające tem jaskrawiej porównywane zjawiska. Klasycyzm i naturalizm, przeciwstawiony będzie romantyzmowi dawniejszemu i dzisiejszemu; indywidualista Słowacki — indywidualiście Nietzschemu. Pozwala to autorowi z jednej strony przedstawić w jaśniejszem świetle pewne znamiona twórczości Słowackiego, do niedawna jeszcze lekceważone i niedoceniane, lub nawet ściągające na poetę surowe wyroki krytyki; z drugiej zaś daje on nam syntezę estetyczną tych usiłowań w dziedzinie sztuki, które pospolicie oznaczamy mianem modernizmu.

Obok okoliczności, którą dotąd mieliśmy na myśli, należy uwzględnić jeszcze inną, która rozmyślaniom i wywodom p. Matuszewskiego nadaje szczególne znaczenie, jest to jego postawa wobec tych podmuchów, które walczą jeszcze o byt, nie mogąc zapewnić sobie ogólnego uznania. Byłoby wielką nieścisłością utrzymywać, iż autor jest teorytykiem t. zw. modernizmu. Naprzód, gdy chodzi o kanony, samo pojęcie modernizmu rozpryskuje się na okruszyny, pozostawiając tylko beztreściwe wyobrażenie współczesności i jednoczesności. A nie jest też p. Mat. wyobrazicielem jednej jakiejś fali ogólnego prądu. Zbyt wielką zachowuje równowagę, nie idzie z nikim w pierwszym szeregu. Propagator tej lub owej doktryny upatruje w niej zazwyczaj ostatnie ogniwo łańcucha rozwojowego, jest przeświadczony, iż jego wiara zostanie po wsze czasy najdoskonalszą formą ludzkiej myśli i postępowania. Czyż takiego sekciarz i herezyarchy nie czuć np. w Przybyszewskim? Ale p. Matuszewski z zupełnym spokojem mówi o przejściowości prądu nowoczesnego, o rytmie ewolucyi, wahającej się odwiecznie między dwoma przeciwległymi biegunami, którymi są: rzeczywistość i świat podmiotowy. Jakiejś wyłączności trudno tu dopatrzeć. Chciałbym to wykazać na jednym bodaj przykładzie.

Nie zbyt to odległe czasy, kiedy w przyzwyczajeniach estetycznych krytyki i ogółu panowały niepodzielnie upodobania realistyczne. Młodzież, wykarmiona na dziełach, powstałych w tej atmosferze, rozumiała w twórczości Słowackiego jednego chyba „Mazepę," gdyż ten właśnie dramat zbliżał się najwięcej do jedynie uznanej mody. W krytyce zaś za przedmiotową miarę doskonałości pojedyńczych dzieł (ze strony „techniczno-artystycznej) lub wielkości talentu twórców poczytywany był zawsze stopień, w jakim pisarz urzeczywistnił lub mógł urzeczywistniać w swych pracach przedmiotowy typ tworzenia, stopień *plastyki*, jaki zdołał w dziełach swych osiągnąć. Dziś napróżno oglądalibyśmy się za taką jednostajnością wyobrażeń i upodobań. Łatwo sobie teraz uprzytomnimy podziw czytelnika, z jakim przed kilkunastu laty spotkał pierwszą czyjąś wzmiankę, iż dbałość o plastykę należy już do rzeczy przeżytych... Dziś wszyscy wiemy, iż było to pierwsze drgnienie spokojnej u nas dotąd powierzchni, pierwszy objaw przesiąkania tego zdroju, który obecnie już toczy śmiało wzdymające się i spienione fale. Miejmy i to na uwadze, iż zagadnienie plastyki nie stanowi bynajmniej szczegółu podrzędnego; jest to niezbędne narzędzie realisty, gdy tymczasem „nieokreśloność i mglistość stanowi jedną z cech poezyi nastrojowej." Dla twórców bowiem i epigonów naturalizmu „kwestyą zasadniczą było objektywne i plastyczne utworzenie *faktu*, dla modernistów zaś sam fakt ma znaczenie podrzędne...." Znamieniem sztuki „dawnej" jest wyrazistość, sztuki „nowej" — suggestya. Więc cóż z tego wynika? Czy wypukłość kształtów jest stroną ujemną, jest oznaką jakiejś nędzniejszej, zacofanej sztuki? „Jeżeli poezya modernistyczna — odpowiada autor — odwróciła się zupełnie prawie od plastyki i roztopiła w muzyce, to prócz przyczyn ogólnych.... wpłynęło na to i względne *ubóstwo* indywidualności artystycznych.... podnoszących własne *kalectwo* do godności dramatu..." Stanowczo p. Mat. za mało posiada namiętności i za dużo „zmysłu historycznego," by mógł być prorokiem jednej doktryny lub szkoły.

Lecz równowaga jego jest często tylko owocem rozważań teoretycznych i szerokiej kultury estetycznej. O ile przecież uwzględnimy osobiste jego upodobania, wewnętrzny, niewyrozumowany pociąg uczuciowy, dostrzeżemy bez trudu, iż autor oddawna z wyraźną sympatyą skłaniał się na stronę „nowej“ sztuki. Pewne melodye najnowsze (i współbrzmiące romantyczne), najsilniejszy budzą w nim oddźwięk, te mianowicie, które nie odtwarzają faktu, lecz wyrażają „subjektywną grę uczuć i wrażeń,“ które nadto poddają uczucie, iż poza światem kształtów dotykalnych pulsuje potężny ocean życia. W dotychczasowej działalności krytycznej autora nie stanowią odosobnionych szczegółów, lecz przeciwnie wiążą się w całość organiczną takie np. zjawiska, jak uwielbienie dla piśmiennictwa starożytnych Indów, dla których świat cielesny był marą, najrozlewniejsze zaś abstrakcye oddychały pełnią życia, jak natężona uwaga, poświęcona mistykom współczesnym i dawniejszym, bądź w sztuce, bądź w wierzeniach; jak wreszcie ostatnie dzieło o Słowackim. Między tematami nawet, nie mówiąc o traktowaniu przedmiotu, istnieje wyraźne powinowactwo z wyboru. Uprzytomnijmy sobie dla przykładu paralelę między Sienkiewiczem a Prusem. Zrzeka się autor ustalenia przedmiotowej miary dla wyższości lub niższości jednego z dwu artystów, rad powtarza formułę: „dwa na słońcach swych przeciwnych bogi“; lecz uśpiwszy w sobie w ten sposób sumienie krytyczne, oddaje sympatyę swą — nie - plastykowi. Nie dlatego zaiste, by mu się miał niepodobać przepych barw; lecz że dla autora „Emancypantek“ fakt stał się objawem bytu ukrytego, rzeczywistszego nad t. zw. rzeczywistość.

Z jakichkolwiek zresztą źródeł płynie sympatya p. Matuszewskiego względem modernistów, to pewna iż pozwala mu ona łatwiej, niż komu innemu, wyczuć i ocenić właściwie dodatnie strony nowego prądu, pozwala odróżnić rzeczy istotne od przypadkowych i dziwacznych, i zapobiega takim eksperymentom, jakim np. p. Nowiński poddał niedawno Przebyszewskiego.

Kult dla poezyi Słowackiego w ostatnich czasach jest już powrotną falą z tą różnicą, iż obecny jej prąd jest o wiele potężniejszy od poprzedniego i pozostawi trwały osad w postaci dzieł poświęconych twórcy „Balladyny.“ Źródła „nowej sztuki“ wytrysły na obczyźnie; na naszym wszelako gruncie moderniści obrali Słowackiego za proroka, zwłaszcza Słowackiego z ostatnich lat jego działalności twórczej. Zależy to od całego szeregu punktów stycznych między jego poezyą a dążeniami poezyi dzisiejszej. W szeregu tym najważniejszą bodaj rzeczą jest *rodzaj* twórczości Słowackiego, przewaga liryzmu i podmiotowości, przewaga rozlewnego czucia nad wypukłą a polichromiczną rzeźbą. Istnieją bowiem dwa typy wyobraźni i dwa odpowiednie tym usposobienia duszy. Jedno pokrewne ze ścisłością badacza, drugie z fantastycznemi rojeniami marzyciela; jeden typ ma upodobanie w otwartej przestrzeni, zalanej równem, gorącem światłem słonecznem; drugi — lubuje się w półmroku lub mgle tęczowej; dla jednego najdalszym kresem bywa zwykle linia widnokręgu, być może zresztą bardzo rozległego; drugi podąża chętnie w zaświaty. Typ plastyczny i epiczny odtwarza rzeczywiste kształty i czyny; typ liryczny i muzyczny nie dba o dokładny rysunek, lecz zapomocą syntezy odpowiednio dobranych środków poddaje właściwy nastrój, wzbudza w nas uczucia pokrewne tym, które obejmowały duszę twórcy. Autor nazywa ten ostatni typ muzycznym dlatego, że zadaniem muzyki jest budzić uczuciowe nastroje o treści często mglistej i przelewnej, i że materyałem jej jest dźwięk, który rzeczywistych kształtów nie odtwarza. Powtórzymy tu za autorem zastrzeżenia, widoczne zresztą same przez się. Jeżeli na jednym krańcu kładziemy rzeźbę, na drugim muzykę, to pamiętać należy, iż rzeźba może być „nastrojową,“ podobnie jak muzyka malowniczą (analogicznie do onomatopei w poezyi). Dla poety „nastrojowego“ plastyczny środek może być równie dobrym, jak każdy inny. Autor ma na myśli rodzaj i kierunek wyobraźni, lecz nie materyał, z którego wyobraźnia ta wznosi swe mniej lub więcej eteryczne gmachy, nie przewagę żywiołów wzrokowych lub słuchowych.

Czysty typ zdarza się rzadko, może nigdy. Ale każdy artysta zbliża się w twórczości swej mniej lub więcej ku jednemu albo drugiemu biegunowi. Co do Słowackiego, wyobraźnia jego była typu mieszanego, z widoczną jednak przewagą pierwiastku muzycznego. „Wyobraźnia rozlewna jest u autora „Balladyny“ gruntem, z którego wyrasta barwny, wonny ale delikatny i powiewny kwiat plastyki.“ O modernizmie zaś powiedzieć należy, iż w technice swej odwraca się od plastyki, w założeniu swem — od realnego traktowania przedmiotu.

Taki oto jest rdzeń wywodów p. Matuszewskiego, być może, niezbyt ściśle przez nas sformułowany; jest to częściowe przynajmniej wyjaśnienie, zarówno dzisiejszej władzy wieszcza nad sercami, jak i powodu — do dziś dnia do przeszłości jeszcze nienależących — fałszywych sądów o jego twórczości. Starsza krytyka, ulegając wyobrażeniom swej doby, poszukiwała w Słowackim tego właśnie, czego on dać nie mógł, a nie znajdując rzeczy przez siebie pożądanych, cofała się zniechęcona. Ulegała czarowi, lecz prędko przemocą otrząsała się z uroku, gdyż pragnęła koniecznie „po za blaskiem farb dojrzeć *linii*“; niby nie miała przeciw temu, by dzieła Słowackiego, *tracąc* nieco z genialnego zacięcia, miały w sobie więcej prawdy, *prostoty, jasności*, tych przymiotów, *bez których trwałość piękna jest niemożliwa.*“ (J. Tretiak: *Szkice*, I, 151). My zaś, bez względu, czy należymy lub nie do obozu modernistów, godzimy się z pięknem i tam, gdzie nieustanny ruch zaciera czystość linii...

(D. n.).

A. Drogoszewski.

LITERATURA WŁOSKA.

Ugo Ojetti.

Matylda Serao, A. Fogazzaro, G. d'Annunzio, paru dramaturgów, jak: M. Praga, G. Rovetta, Bracco, wreszcie mało płodna poetka Ada Negri — oto szereg imion, których chwała przeszła granice kraju ojczystego; twórcy powyżsi reprezentują też, wobec czytelnika obcego, najnowszą literaturę włoską.

Właściwa jednak „najnowsza“ literatura włoska z nieco odmiennych składa się pierwiastków— z innych ludzi i innych dzieł— wszystko to wszakże nie ma czem zbytnio światu imponować, gdyż nie posiada ani mocy szczególnej, ani świeżości i oryginalności wyrazu. Lecz wysiłki twórcze ostatniego pokolenia pisarzy włoskich nie są bez znaczenia dla regularności rozwoju pewnych gałęzi piśmiennictwa półwyspu. W zakresie powieści zwłaszcza spotykamy się dość często z objawami, świadczącymi o wzmocnionej uprawie niektórych, bardziej zaniedbanych, jej rodzajów. Utwory takich powieściopisarzów, jak: A. Butti, F. de Roberto, Ugo Ojetti itp., wniosły nieco ożywienia do powieści obyczajowej i t. zw. psychologicznej.

Chcę tu zwrócić uwagę na U. Ojetti'ego, bardzo ruchliwego dziennikarza i krytyka, oraz autora kilku wyróżniających się utworów beletrystycznych. Powieści takie, jak *Il Gioco dell'Amore* („Gra miłości“) np., albo świeżo wydany zbiór nowel p. t. *Le vie del peccato* („Drogi grzechu“) świadczą o dużej zręczności pisarskiej U. Ojetti'ego, o jego umiejętności zainteresowania czytelnika do tematów, skądinąd bardzo błahych, o darze obserwacyi ścisłej i przenikliwem zgłębianiu owych nieskończenie małych i znikomych usposobień serca ludzkiego, które od pierwszego spojrzenia nie dają się ująć i zanotować. *Il Gioco dell' Amore* jest to powieść ciekawa z tego względu, iż w niej znajdujemy obraz uczuć miłosnych, nic niemających wspólnego z tradycyjną „namiętnością“ i szałem uczuciowym Włochów.

Chodzi tu wprawdzie o życie sfer artystycznych, spragnionych stałej odnowy wrażeń i niespokojnie upędzających się za złudnem widmem szczęścia zmysłowego, mamy tu jednak stwierdzenie tego faktu, że przysłowiowa ognistość rasy włoskiej uległa widocznym przekształceniom, że ta „gra miłości,“ jakiej się oddają różni jej przedstawiciele, kryje za sobą wyczerpanie i małą zdolność do trwalszych wytężeń duszy. Na pochwałę Ojetti'ego trzeba dodać, że świadomość podobnych usposobień nie przybiera u jego bohaterów postaci przesadnego tragizmu, który stanowił niegdyś główny urok niektórych powieściopisarzy francuskich.

Umiarkowaniem i brakiem przesady w malowaniu wszelkiego rodzaju przeciętnych, poniekąd normalnych podłostek i nędz życia odznaczają się drobiazgi nowelistyczne, zatytułowane „Drogi grzechu.“ Pomijam tu twórczość beletrystyczną U. Ojetti'ego i zwracam głównie uwagę na książkę jego p. t. *Alla scoperta dei letterati* („Na odkrycie literatów“), która może obchodzić bliżej każdego, kto z życiem literackiem Włoch dzisiejszych chciałby się obeznać.

Kilka lat temu U. Ojetti, pragnąc odpowiedzieć sobie na pytanie, czem jest dzisiejsza literatura włoska i jakie są jej dążności — postanowił udać się po odpowiedź do źródła. W tym celu odwiedził głośniejszych pisarzy swego kraju, każdego pobudzał do rozmowy na temat przyszłości literatury włoskiej i ze zwierzeń tych ułożył książkę swoją, która wprawdzie nie rozstrzyga najważniejszego pytania, jest jednak bardzo ciekawym obrazem stosunków literackich we Włoszech. Stosunki te, sądząc z wyznań samych literatów, nie należą do zbyt sprzyjających rozwojowi, a względnie spodziewanemu „odrodzeniu“ literatury włoskiej.

Życie literackie półwyspu, z powodu braku jednego ogniska głównego, w któremby się skupiało, jest zatomizowane, rozbite, pozbawione żywszego tętna. Język literacki, z powodu znacznych różnic etnicznych i antagonizmów kulturalnych, jest mało wyrobiony i dziełu wytworzenia spójności duchowej nie dopomaga.

Nadto, warunki ekonomiczne i społeczne nie sprzyjają rozkwitowi twórczości literacko-artystycznej. Wydawcy źle płacą, publiczność żyje rutyną, dziennikarstwo zbytnio polityką, krytyka jest pedantyczna i erudycyjna.

Słuszne narzekania! Z jednem tylko trudno się pogodzić, mianowicie z tem, żeby brak jednego ogniska życia umysłowego, któreby pociągało ku sobie i skupiało ogół twórców, wpływał tak ujemnie na losy literatury włoskiej. Historya jej przekonywa, że miało to swoje dobre strony. Weźmy choćby ruch literacki, wywołany dość zaściankowem poniekąd współzawodnictwem północy z południem półwyspu; walka szkoły bolońskiej, gromadzącej się dokoła G. Carducci'ego, z Sycylijczykami, którym przewodniczył Mario Rapisardi,

dużo się przyczyniła do odmłodzenia literatury włoskiej ostatnich czasów.

Niektórzy pisarze włoscy spoglądają na Paryż, jako na wymarzony punkt, ogniskujący w sobie wszelkie zabiegi i dążności twórcze, spoglądają z zazdrością i przekonaniem, że to jest głównym warunkiem powodzenia literatury francuskiej. Według mnie, zazdrość nie jest zupełnie uzasadniona. We Francyi narzekają oddawna na hegemonię stolicy, na zbytnie zcentralizowanie ruchu umysłowego i artystycznego, co też wywołuje niedokrwistość życia na całym obszarze kraju, anormalną zaś pulsacyą w punkcie głównym. Do przesądów należy mniemanie o cudownem oddziaływaniu bruku paryskiego na rozkwit i bujność „wielkiej“ sztuki i literatury. Tutaj, przeciwnie, wszystko się ujednostajnia i szablonuje prędzej, niż gdzieindziej; moda wymaga zbyt wielkich ofiar, a życie wielkomiejskie i pragnienie popularności znieprawiły niejeden talent prawdziwy. Wytworzyła się tu specyalna literatura paryska, nieuwzględniająca życia znacznej części kraju, oddana opiewaniu wszelkich „paryzyanizmów,“ przeniknięta rozmaitymi snobizmami, monotonna i zatęchła, jak to życie, z którego czerpie natchnienie.

Włosi mogą więc na wszystko wyrzekać, nigdy jednak na to, że mają kilka drobniejszych ognisk życia umysłowego, o tętnie niezbyt potężnem wprawdzie, zawsze jednak wystarczającem dla tych, którzy mają do zaspokojenia potrzeby umysłowe i artystyczne. Partykularyzm życia włoskiego może nieraz źle wpływać na twórczość, ma jednak swoje nieocenione strony: urozmaica życie twórcze, pozwala mu korzystać z różnic rasowych i kulturalnych, chroni nieraz od bezbarwnej monotonii. Tacy twórcy, jak A. Fogazzaro, G. Pascoli itp., nic nie stracili na tem, że ich twórczość powstawała zdala od rojnych ognisk życia, w małych zakątkach kraju, pozbawionych wszelkiej atmosfery literackiej i artystycznej.

Poglądy interviewowanych przez Ojetti'ego pisarzy włoskich na przyszłość literatury ojczystej są przeważnie natury optymistycznej, albo chwiejnej; nie brak wszakże i wyraźnie pesymistycznych. Pisarze starszego pokolenia spoglądają z nieufnością na różowe nadzieje młodszych kolegów, niektórzy, jak Carducci np., z powodu zawodów osobistych i zbyt wysokich wymagań, lub też wprost niechęci do wszelkich nowości, inni zaś, jak np. Ed. de Amicis, dlatego, że się bardziej przejęli sprawą odrodzenia społecznego, niż literackiego. Nawiasem mówiąc, nawracanie się pisarzy włoskich na ideały społeczno-demokratyczne jest zjawiskiem bardzo częstem.

Optymiści rekrutują się głównie z pośród młodszych twórców, którym teraźniejszość sprzyja, a przyszłość się uśmiecha, są jednak między nimi i tacy, których karyera pisarska już się skończyła. Do takich należy np. dawny naturalista L. Capuana, przejęty obecnie kierunkiem mistycznym, który tak samo mniej więcej, jak p. T. Jeske-Choiński, wyrzeka na niemoc nauki i moralność niezależną. Optymistycznym również i zadowolonym zupełnie ze swej twórczości naturalistycznej jest znakomity powieściopisarz G. Verga, który znów przypisuje bardzo małą wartość wzlotom mistycznym. O naturalizmie robi Verga słuszną uwagę, że jest to raczej metoda pisarska, niż kierunek, gdyż najmistyczniejszą powieść można napisać sposobem naturalistycznym.

Wśród młodych są nawet i cynicy, zadowoleni zupełnie z losu, którzy, jak dramatopisarz Marco Prago, wyznają szczerze, że literatura jest dla nich dojną krową, zawodem tymczasowym, któremu się tylko dlatego oddają, że im przynosi rocznie pożądaną sumę lirów.

Przeciwieństwem zniechęconych, sceptyków, albo zadowolonych z tego, co jest, niepragnących wcale zmian i nowych zwrotów, jest G. d'Annunzio, który wierzy niezłomnie w potęgę oddziaływań artystycznych na całość bytu ludzkiego i roi wciąż o nowych formach piękna, doskonaląc jego narzędzie i oczyszczając źródła, skąd ma czerpać swoje pierwiastki. D'Annunzio występuje jako jeden z tych, którzy w duchu nauki nie widzą wroga, lecz sprzymierzeńca twórczości artystycznej. Świetną przyszłość literaturze ojczystej wróżą i inni, mniej lub więcej zasłużeni i uznani pisarze, jak: Matylda Serao, G. Giacosa, Enrico Butti i wielu innych. Dramaturg Giacosa np. ma tak wysokie przekonanie o wartości dramatu włoskiego, że aż mu się zdaje, iż bez niego nieszczególnie by wyglądały teatry Europy...

Ruchem mistycznym, czy też neo-katolickim, najbardziej jest przejęta powieściopisarka Matylda Serao, która pragnie zrzucić jarzmo nauki, niedostatecznej dla życia fantazyi i serca i oderwać ducha twórczego od trosk ziemskich. (Ostatnio, w powieści „Siostra Joanna Della Croce,“ mistycyzm powieściopisarki przybrał charakter niezwykle gorącego współczucia dla maluczkich).

Młody natomiast autor, E. Butti, krytykuje surowo ów sentymentalno-religijny mistycyzm, upatrując w nim objawy chorobliwe, coś w rodzaju głuchej, nieświadomej trwogi. Podług niego, idealistyczne odrodzenie sztuki da się uskutecznić za sprawą świadomej ciekawości artysty-twórcy, dla Niepoznawalnego, tj. dla tego, co się ukrywa za pospolitymi pozorami bytu.

Z tej wiązanki najsprzeczniejszych zdań i poglądów można wyciągnąć wniosek, że literatura półwyspu przechodzi przez te same zniechęcenia i zawody, pragnienia i nadzieje, przez jakie przechodzi wogóle literatura współczesna; że i tu ludzie rozprawiają o „odrodzeniu,“ jak o jakiejś istocie zaczarowanej, która przyjdzie z za morza i zjawieniem się swojem wszystko z gruntu odmieni.

Od chwili wydania książki U. Ojettie'go ubiegło kilka lat, tymczasem t. zw. „odrodzenia“ literatury włoskiej jak niema, tak niema — jest za to co innego! Jest ruch nieustanny, przybywa sporo różnostronnych talentów, są dostrzegalne zmiany, słowem niema upadku, niema przerwy w rozwoju i stłumienia twórczości, jak było np. w smutnym okresie życia narodu włoskiego od 1830—1859 r.

I sama książka Ojetti'ego jest jednym z objawów żywszej świadomości literackiej we Włoszech, jest przytem, pomijając formę wywiadu, bardzo udatną próbą krytyki artystycznej.

Wł. Jabłonowski.

WYSTAWY WARSZAWSKIE

(Dokończenie).

Pierwszeństwo śród rysunków przypada niewątpliwie Antoniemu Kamieńskiemu. Jego „autoportret,“ „Zadumana“ i portret studenta są wprost znakomite. Szkoda, że do katalogu wybrano rzecz słabszą od innych i dość banalną.

Jak Kamieński w rysunkach, tak w akwarelach przoduje Józef Mączyński. Jego studya targowe z końmi, „Poranek wiosenny“ i wogóle wszystkie inne prace stanąć mogą śmiało do porównania z dziełami pierwszorzędnych akwarelistów.

Trojanowski dał kilka bardzo dobrych krajobrazów. Wyborny też jest Konstantego Wróblewskiego „Zamarzły staw w Tatrach.“ Portrety Zygmunta Badowskiego, dobre w rysunku, a jeszcze lepsze w wyrazie, niepotrzebnie malowane są tak manierycznie. Jest to jednak z pewnością przemijające usposobienie młodego artysty, bo już jego „Studyum“ nie posiada tych brudno-zielonych półtonów i obramowań.

Wielkiem poczuciem harmonii linij i barw nacechowane są prace Feliksa Jabłczyńskiego. „Judasz“ Edwarda Okunia jest charakterystyczny i silny, a niewielki „autoportret“ Edwarda Okonia posiada dużą psychikę.

Czemu Pieńkowski w „Romansie“ obdarzył tak niebywale długiemi rękami i nogami postać, grającej na fortepianie, to chyba da się wytłomaczyć tylko upodobaniem osobistem, któremu artysta dał wyraz i w portrecie młodej panny, z tą różnicą, że gdy pierwsza praca jest kolorystycznie piękna i ciekawa, druga jest zwykłym banalnym portretem, nieinteresującym ani wyrazem, ani kompozycyą, ani umiejętnością wykonania, jak gdyby go malował nie „młody,“ lecz zwykły „mamut.“

Śnieg Procajłowicza jest bardzo dobry, ale portret panny P. fatalnie suchy i jakby wycięty z tektury. Bardzo dobre, po większej części niewielkie studya krajobrazowe dali: Teodor Ziomek, Stanisław i Józef Czajkowski, Bronisław Kowalewski, Lasocki i kilku innych.

Rzeźba ma niewielu przedstawicieli. Stanisław Ostrowski wykazał duże postępy w „popiersiu kobiety,“ w portrecie panny R., a zwłaszcza w bardzo dobrym portrecie pana Z. W. (płaskorzeźba). Bolesław Biegas oswaja po trochu ludzi ze swemi dziwactwami. Obecnie w Chopinie potrafił zaznaczyć dużo pomysłowości, lecz zato „Potężny duch“ lub „Wszechświat“ są poprostu dziwolągami. Tadeusza Breyera „Rozpacz,“ figurka w gipsie, jest bardzo dobrze pojęta i odczuta.

Jak widzimy, na niewielkiej tej, bo z półtorej setki mniejszych prac złożonej wystawie, spotykamy się z utworami najrozmaitszej wartości, zacząwszy od rzeczy pretensyonalnych i nieudolnych, do dzieł wysoce artystycznych; od bezmyślnych naśladownictw do pomysłów oryginalnych; od obłudnej blagi do szczerych objawień artystycznej indywidualności. Ale mimo to cała wystawa interesuje, zachęca do badania i zastanawiania się. Jest ona obrazem życia, w którem dobre i złe nieraz trudne do odróżnienia, miesza się i plącze, ale gdzie niema miejsca na martwotę śmierci, lub choćby tylką śpiączki.

Przejdźmy jeszcze na zakończenie do Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Tam w trzech salach, opróżnionych po wystawie zbiorów p. Jasieńskiego, ukazało się sporo obrazów ciekawych. Dzielą się one na nowe i stare, wyciągnięte gdzieś z pyłu zapomnienia, a są między nimi i takie, które już śmiało można było zostawić w stanie spoczynku. „Świętą Cecylię,“ jedną z najsłabszych prac p. Mastelskiego, widzieliśmy już przed dwoma laty podczas inauguracyi wystawy. „Główkę“ Ejsmonda również pokazywano już kilkakrotnie; znamy także i papierowe „Polowanie na lisa“ oraz „Kirasyerów“ Puławskiego, itd. itd. Lecz przedewszystkiem rzuca się w oczy zupełne niedbalstwo w samem urządzeniu wystawy. Tak np. większość obrazów Korzeniewskiego błyszczy się tak, że niepodobna ich wcale oglądać. Czyżby wystawa umyślnie to zrobiła, żeby módz niepostrzeżenie na dziewięciu z nich naklejć tytuły: „Noc księżycowa,“ mimo że na nich wszystkich (z wyjątkiem jednego) oświetlenie słoneczne jest aż nadto widoczne? Możebyśmy niewiele stracili, gdyby większość tych prac wcale się nie znajdowała na wystawie, ale skoro *jury* uznało je za dobre, to obowiązkiem wystawy było umieścić je starannie. Chodząc po salach, spotykamy się z pracami wielu artystów z „Wystawy wiosennej.“

Jest tam również kilkadziesiąt dobrych studyów nieżyjącej już Klass-Kazanowskiej, sprzedawanych na rzecz Towarzystwa.

Z przyjemnością poznajemy nową firmę St. Rudzińskiego, który dał kilka bardzo szczerze odczutych krajobrazów z Zakopanego, ale portret tego samego artysty jest zupełnie słaby. Władysław Jasieński doskonale obserwuje naturę zarówno pejzażową, jak i figury, czego dowód dał w starym chłopie, kołyszącym dziecko. Dlaczego więc w drugim obrazku „Na podwórku“ figury są tak zaniedbane? Siestrzeńcewicz komponuje zwykle z dużym rozmachem, ale z niezbadanych przyczyn chałat Żyda, w bryczce zaś fartuchy, buda i koła, a nawet wiele innych najrozmaitszych przedmiotów, posiadają ten sam ton lokalny, fiołkowy.

Rezlerówna wystąpiła z główkami, świadczącemi o talencie. Marya Niedzielska traktowała szeroko duży portret kobiecy i zanotował dobrze wyraz. Niektóre studya krajobrazowe tej artystki malowane są z rozmachem i szczerze, większość jednak bez szkody mogłaby jeszcze zostać w pracowni. Studya Malinowskiej są o wiele lepiej zrównoważone. Obie artystki opracowały te same motywy.

Tadeusz Cieślewski dał kilka bardzo dobrych studyów krajobrazowych. W „portrecie damy“ Trzebiński umiał wydobyć siłę i nie pozwolił uwadze widza rozpraszać się na akcesoryach. Jest to jedna z najlepszych prac tego artysty. „Rzeźbiarz“ Jacka Malczewskiego i dwie inne głowy posiadają zwykłą wielką plastykę i wyraz, ale też i zwykłą twardość.

Dwa niewielkie obrazki rodzajowe Kraszewskiej należą do typu, poszukiwanego za granicą przez różnych Kunsthandlerów. Są to bardzo starannie, poprawnie i drobiazgowo wykończone, choć przesłodzone studya, posiadające wyższość nad pracami niektórych naszych uznanych w tym kierunku „mistrzów,“ gdyż obok starannego wykończenia mają i rysunek poprawny.

Prace Jana Rozena i Chełmińskiego zbyt są stale jednakowe i typowo „mamutowe,“ aby mogły zainteresować. Chyba tylko „Sztafeta“ stanowi wyjątek.

Dobry jest portret męski, Melanii Mutermilchowej, niezłe jej notatki krajobrazowe. Owidzki i Pański dali niewielkie, ale szczerze odczute i sumiennie wykonane krajobrazy.

Są więc i tu prace interesujące i dobre, ale wogóle dziwnie obficie „Zachęta“ zarzucona została studyami i notatkami nieudolnemi i niezasługującemi na wystawienie. Jeśli tylko w takiej formie nasze Tow. „Zachęty“ chce składać dowody swego „modernizmu“ i „nie zostawania w tyle,“ to niewielkim rezultatem będzie się mogło poszczycić. Tu trzebaby kogoś, ktoby nie poprzestawał na roli zręcznego lub nieudolnego przedrzeźniacza konkurycyjnej „budy z przeciwka,“ ale miał własne szersze poglądy na potrzeby i zadania sztuki.

Sierp.

Notatki literackie i artystyczne.

POEZYA. Z. Różycki: „Tęsknota,“ str. 64, wyd. J. Fiszera.

— A. Puszkin: „Eugeniusz Oniegin,“ przekł. L. Belmonta. Wyd. Gebethnera i Wolffa.

— El: „Pogrzeb,“ tryptyk seniczny. Nakł. Dubowskiego.

— H. Zbierzchowski: „Impresye,“ str. 95. Nakład Friedleina w Krakowie. Skład u Wendego.

— Cezary Jellenta: „Orfan,“ skł. u Fiszera.

— Jan Lemański: „Bajki,“ nakł. Jana Fiszera.

PROZA. A. Smaczniński: „Nowele,“ str. 288. skł. u Fiszera.

— A. Gruszecki: „W tysiąc lat,“ na tle stosunków słowacko-węgierskich, str. 399. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

— A. Dygasiński: „Gody życia,“ str. 168. Nakład J. Fiszera.

— H. Krzemieniecka: „Pod cichą falą,“ szkice i obrazki: 1) Przed wyrokiem, 2) Szczęście rodzinne, 3) Troska przekwitłej elegantki. Gebethner i Wolff.

— Wila: „Dwóm Bogom,“ str. 207. Wydanie Jana Fiszera.

— Lach: „Zygzaki,“ — wyciąg z księgi humoru i satyry. W ks. Szczepkowskiego.

— M. Rodoć: „Listy i pogadanki,“ str. 212. Nakł. Gebeth. i Wolffa.

— W. Rogowicz: „Zocha,“ str. 306. W księgarni Borkowskiego.

HISTORYA. P. Sierzputowski: „Kartki z dziejów stosunków polsko-pruskich w XVI st.“ str. 104. Wyd. J. Fiszera.

PODRÓŻE. J. Korzeński: „Obce ludy, obce kraje,“ podług oryginału czeskiego opracowała Antoszka. Nakład M. Arcta.

— A. de Gerlach: „Piętnaście miesięcy na oceanie antarktycznym,“ przekł. Z. Nałkowskiej. Wydanie tygodnika „Na około świata.“

— A. Babiński, Z. Bazewicz: Przewodnik po Królestwie Polskiem; wyd. Bazewicza 2 tomy.

— W. Nałkowski: „Geografia malownicza z wrażeń podróżników“ (Australia z Polinezyą). Nakł. M. Arcta.

KRONIKA.

Wiadomości urzędowe. D. 15 maja sądzona była w Wilnie sprawa Hersza, syna Dawida, Lekucha, zwanego Lekiertem i Lekierem, oddanego pod sąd za zamach na życie gubernatora wileńskiego, generał-lejtnanta von Wahla. Okręgowy sąd wojenny, uznawszy Lekucha winnym, skazał go, po pozbawieniu wszystkich praw stanu, na karę śmierci przez powieszenie. Skargę kasacyjną skazanego główny sąd wojenny, po rozpatrzeniu, pozostawił bez skutku. Wyrok wykonano w Wilnie d. 28 maja (10 czerwca).

— „Zbiór praw“ ogłasza o ustanowieniu w Warszawie czterech nowych posad weterynarzy policyjnych i czterech felczerów weterynaryi oraz po jednej posadzie weterynarza i felczera w każdym powiecie Królestwa Polskiego. Posady asesorów weterynaryi w Warszawie i weterynarzy okręgowych zniesiono. Koszty utrzymania pokryje opłata, nałożona na właścicieli bydła.

Wiadomości społeczne. Departament policyi w ministeryum spraw wewnętrznych wydał rozporządzenie do gubernatorów w Królestwie Polskiem, ażeby zapobiegali wychodźtwu robotników do Prus na zajęcia letnie i ostrzegali ich, że w państwie tem zapotrzebowanie na ich pracę jest w roku bieżącym bardzo ograniczone; nie zawarłszy więc uprzednio kontraktów, narazić się mogą na stratę czasu, brak środków do życia i powrotu do ojczyzny.

— Zatwierdzona została ustawa kasy nauczycieli prywatnych w Warszawie, do której należeć mogą nauczyciele i nauczycielki posiadający świadectwa rządowe.

— Kasa pogrzebowa zawiązuje się przy magistracie m. Warszawy. Uczestnicy dzielić się mają na trzy grupy, po 500 osób każda; w pierwszej grupie płacić będą wpisowego 3 rb. i składki 1 rb., w drugiej—2 rb. i składki 50 kop., w trzeciej — 1 rb. 50 kop, i składki 20 kop. Względnie do tych grup kasa wypłacać będzie premia 500, 250 i 100 rb. Do kasy, oprócz urzędników magistratu i instytucyj mu podległych, będą mogły należeć osoby postronne, z polecenia trzech uczestników kasy.

— Deputacya wysłana do Wiednia ze Lwowa uzyskała od rządu pożyczkę na przedsięwzięcie różnych robót w celu dania ludności zarobku. Wydział krajowy zaś uchwalił założenie biur dla pośredniczenia w dostarczaniu pracy.

— Komitet lwowski jubileuszu Maryi Konopnickiej postanowił współdziałać z innymi w celu zakupienia dla poetki chaty w Wiśle, i urządzić w połowie września obchód uroczysty w teatrze miejskim.

— Przed izbą karną w Poznaniu toczyła się sprawa p. Zygmunta Słupskiego, redaktora pisma humorystycznego *Komar*, oskarżonego o obrazę majestatu. Sąd wydał wyrok, skazujący podsądnego na 6 miesięcy więzienia i natychmiastowe aresztowanie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wydało rozporządzenie, ażeby dla otrzymania prawa na przejazd bezpłatny do kolonij letnich, sanatoryów i zakładów wodoleczniczych wszystkie instytucye dobroczynne zwracały się z podaniem odpowiedniem do gubernatora miejscowego, który prośbę, zasługującą na uwzględnienie, prześle bezpośrednio do departamentu kolejowego.

Wyzysk. Publiczność, zwiedzająca „wystawę wiosenną“ w salonach p. Krywulta, narażona jest na niespodziewany wydatek, graniczący wprost z wyzyskiem. Wbrew przyjętemu powszechnie zwyczajowi, pod obrazami i rzeźbami nie umieszczono tam ani tytułów dzieł, ani nazwisk artystów. Ciekawi mogą je znaleźć w katalogu wystawy, ale ten kosztuje aż 75 kop. Jest to chyba zbyt wysoki a całkiem nieusprawiedliwiony haracz na rzecz p. właściciela wystawy.

Szkoły i wychowanie. Od d. 29 b. m. wnosić można podania o przyjęcie do politechniki petersburskiej.

— Podania o przyjęcie do szkoły górniczej składać należy przed d. 1 sierpnia.

— Z powodu braku lekarzy weterynaryjnych wydano polecenie, aby w przyszłym roku szkolnym przyjęto do instytutów weterynaryjnych podwójny komplet studentów. Instytuty wszakże warszawski i jurjewski, z powodu szczupłych środków materyalnych i braku nauczycieli nie są w możności zastosować się do powyższego rozporządzenia i będą mogły przyjąć większą liczbę słuchaczów dopiero po zatwierdzeniu odpowiednich etatów.

— Ministeryum oświaty zwróciło się z zapytaniem do uniwersytetu moskiewskiego, których z uwolnionych w roku bieżącym studentów i na jakich warunkach przyjąć można z powrotem. (*Nowosti*).

— Zarząd miejski ofiarował pod budowę gimnazyum na Pradze plac położony przy zbiegu ulic Aleksandrowskiej i Petersburskiej.

— *Warsz. Dniew.* donosi, że blizkim jest urzeczywistnienia projekt utworzenia w politechnice warszawskiej wydziału górniczego. Ministeryum skarbu stara się wyjednać na ten cel kredyt jednorazowy w sumie 120,000 rb., oraz po 90,000 rb. na coroczne utrzymywanie wydziału.

— Do budowy kolei Kaliskiej przyjęto na czas wakacyj 24 studentów wyższych zakładów naukowych, którzy pracować będą w biurach i na linii. Wychowańcy instytutu inżenierów i komunikacyj otrzymują wynagrodzenie miesięczne po 60 rb., pozostali zaś — po 40 rb.

— *Prawit. Wiest.* zamieścił komunikat o organizacyi wykładów w średnich, rządowych zakładach naukowych. Postanowiono w pierwszej i drugiej klasie zachować system i program z r. 1901/2, język zaś niemiecki utrzymać w klasie pierwszej. Od klasy trzeciej rozpoczną się wykłady języka łacińskiego i jednego nowożytnego; w tejże klasie kończyć się będzie kurs nauk przyrodniczych. Klasa czwarta otrzyma podwójny rozkład lekcyj, z jednym lub obu językami starożytnymi. W klasach wyższych, zacząwszy od trzeciej, pozostaje bez zmiany liczba lekcyj tygodniowych, jako też ich rozkład, istniające od r. 1890—1900. W klasie pierwszej i drugiej szkół realnych obowiązywać będą przepisy z r. 1901, w innych zaś — z r. 1895, z wykładami języka niemieckiego w klasie pierwszej. Powyższe wnioski komisyi złożono do decyzyi i zatwierdzenia komitetu uczonych.

— Senat uniwersytetu w Getyndze jednomyślnie odrzucił prośbę kobiet o dopuszczenie ich do studyów.

— Przyjmowanie kandydatów do szkoły rolniczej w Sobieszynie na nadchodzący rok szkolny rozpocznie się d. 29 sierpnia. Podania o przyjęcie do klasy wstępnej i pierwszej, wraz z odpowiedniemi świadectwami, składać można najpóźniej do d. 20 sierpnia. Zarząd szkoły na żądanie wysyła szczegółowe objaśnienia.

— Z początkiem przyszłego roku szkolnego powstanie w Warszawie 7-klasowe gimnazyum realne nowego typu, utworzone podług reformy, opracowanej przez komisyę ministeryum oświaty. Program wykładów ma odpowiadać w zupełności szkole realnej, z dodaniem języków starożytnych jako przedmiotu nieobowiązkowego a przeznaczonego dla tych uczniów, którzy po skończeniu kursu będą mogli wstąpić do uniwersytetu na wydział medyczny lub filologiczny. Język łaciński wykładany będzie od klasy 3-ej, grecki — od 5-ej. Szkoła ta powstaje skutkiem starań inż. Hauzena; mieścić się będzie przy ul. Brackiej. Na początek otworzone będą klasy: wstępna i pierwsze cztery.

Literatura i prasa. *Kuryer Codzienny* ogłosił konkurs na fejleton w 300 wierszach, poświęcony sprawom bieżącym. Nagroda 50 rb., oprócz zwykłego

honoraryum literackiego. Termin nadsyłania prac do d. 24 b. m.

— Nagroda Sully Prudhomme'a, przeznaczona z zapisu Nobla na wydrukowanie najlepszego dzieła młodego, niezamożnego a utalentowanego poety, przyznana została Emilowi Micheletowi.

Z muzyki. Redakcya czasopisma muzycznego *Meloman* ogłasza konkurs muzyczny imienia Konstantego księcia Lubomirskiego, dla kompozytorów polskich, na utwory fortepianowe na dwie ręce: a) Rapsodyę polską (nagroda 100 rb.); b) Suitę, na tematach ludowych (nagroda 100 rb.); c) Utwory salonowe (4 nagrody po 50 rb. i 4 po 25 rb.). Kompozycye mają być nowe, nigdzie nie drukowane, rozmaitego stopnia trudności, bez przewagi jednak techniki wirtuozowskiej, z dokładnem określeniem dynamiki muzycznej. Pożądane są także utwory łatwe, posiadające wykończenie artystyczne, na wzór drobnych utworów Mendelsohna, Reineckego, Schumanna, Hellera, Schyttego i innych. Pozostawiając autorom swobodę w wyborze tematów, redakcya poleca jako wdzięczny materyał bogate źródło melodyj swojskich. Termin nadsyłania utworów d. 15 listopada b. r., pod adresem redakcyi *Melomana*, Warszawa, Warecka 15.

Ze sztuki. Wars. Towarzystwo fotograficzne ogłasza konkurs na seryę złożoną z sześciu fotografij, dających dokładną charakterystykę krajobrazu, typu ludności, życia miejscowego, obyczajów i obrządków w jakiejkolwiek stronie Królestwa Polskiego. Klisze wymiaru 6×6 centimetrów; odbitki wprost z negatywu lub powiększone, z notatką dopełniającą, nadsyłać należy do Muzeum przemysłu i rolnictwa do d. 1 grudnia r. b. Nagrody przeznaczone są trzy: 100, 50 i 25 rubli.

— W Krakowie zawiązano Towarzystwo fotografów polskich, którego celem ma być przedewszystkiem zwalczenie konkurencyi niemieckiej.

— W Towarzystwie Zachęty wystawiono zbiór oryginalnych sztychów angielskich, pochodzących ze zbiorów p. Zenona Kona z Mińska.

— Nagrodę 300 koron, przeznaczoną przez redakcyę *Tygodnika ilustrowanego* za najlepszy rysunek, otrzymał artysta-malarz Piotr Stachiewicz za utwór p. t. „Modlitwa."

— Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej zamierza urządzić wystawę pod nazwą „Stara Warszawa," na którą złożyłyby się zabytki Warszawy, pochodzące z czasów najdawniejszych aż do połowy ubiegłego stulecia, jako to: dzieła sztuki malarskiej, rzeźbiarskiej, insygnia, księgi, portrety, kostiumy itp.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum rolnictwa opracowało projekt banku wszechrosyjskiego dla przemysłu drobnego, którego oddziały powstać mają także w Warszawie, Lublinie i Siedlcach.

— Uwolnione zostały od opłat kancelaryjnych kwity celne, wydawane do sumy 15 rb.

Komunikacye. D. 3 lipca r. b. odbędzie się w Wilnie IX zjazd przedstawicieli służby telegrafu i elektrotechników kolejowych.

Zmarli. Hipolit Chwalibóg, b. profesor b. Szkoły Głównej; w Mysłowie, gub. Siedleckiej, w 78 roku życia.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. dr. F. N. w Poznaniu. Wypadek, w artykule wstępnym nr. 22 przypomniany, zaszedł w r. 1887, a nie w 1902; rzeczywistość zatem czynu obywatelskiego, o którym Sz. Pan wzmiankuje, nie wyklucza tej rzeczywistości, o której mowa w artykule. Fakt dawniejszy, przeciwstawiany nowemu, znajdzie Sz. Pan w *Dzienniku Poznańskim* i *Kuryerze Poznańskim* z zimy r. 1887—8; stamtąd go wzięły i czytelnikom swoim podały czasopisma warszawskie.

P. Gustawowi Kr. Wszelkie łamigłówki najlepiej rozwiązywać samemu.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 6 Іюня 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.